



Jane Porter



*Magnat z
Peloponezu*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- *Ohi*. Nie - głęboki szorstki głos mógł należeć tylko do samego Kristiana Koumantarosa. - Odpraw ją.

Stojąc w holu przed drzwiami biblioteki, Elizabeth Hatchet wciągnęła głęboko powietrze w płuca i postanowiła uzbroić się w cierpliwość. Wiedziała, że czeka ją trudna przeprawa, lecz przecież nic, co dotyczyło Kristiana Koumantarosa, nie było łatwe. Ani wypadek, ani rehabilitacja, ani droga do jego rezydencji.

Podróż z Londynu zabrała jej dwa dni. Wpierw lot do Aten, potem długa jazda samochodem do Sparty, a na koniec przesiadka do małego wózka ciągniętego przez osiołka, który po wyboistej górskiej drodze przywiózł ją aż tu.

Nie mogła wprost pojąć, dlaczego ktoś, zwłaszcza ktoś, kto nie może chodzić i nie widzi, wybrał sobie na miejsce zamieszkania opuszczony klasztor zbudowany w połowie skalistego zbocza jednej z najwyższych gór na Peloponezie, lecz postanowiła, że skoro już tu dotarła, nie da się odprawić z kwitkiem.

- *Kyrios* - Elizabeth rozpoznała głos greckiego lokaja, który otworzył jej drzwi - ona przebyła długą drogę...

- Ja też. Z cholerną pomocą pierwszorzędnej opieki jej agencji. Tak się reklamuje! Pierwszorzędnej, a niech mnie!

Wybuchowi towarzyszył brzęk tłuczonego szkła. Elizabeth przymknęła powieki i odliczyła do dziesięciu. Sądziła, że godząc się zapewnić opiekę domową Kristianowi Koumantarosowi po opusz-

czeniu przez niego francuskiego szpitala, wiedziała, jakiego zadania się podejmuje. Tak samo sądziła, że jadąc tutaj, wie, co ją czeka. W obu przypadkach srogo się pomyliła. Kristian Koumantaros doprowadził jej agencję pielęgniarstwa na skraj bankructwa, a jazda rozklekotanym wózkiem po wybojach przyprawiła ją o zawrót głowy i mdłości.

- To tylko szklanka, *kyrios* - uspokajał lokaj.

- Mam tego dość, Pano. Wszystkiego...

- Wiem, *kyrios*, wiem... - Lokaj zniżył głos, tak że teraz

Elizabeth już nic nie mogła usłyszeć.

Wzbierała w niej złość. Kristian Koumantaros był bajecznie bogaty i mógł sobie pozwolić na wszelkie ekstrawaganckie zachcianki z mieszkaniem w samotni w górach Peloponezu włącznie, lecz to nie usprawiedliwiała jego zachowania. Egoistycznego i autodestrukcyjnego.

Rozmowa w bibliotece znowu stała się głośniejsza, a Elizabeth, która biegle znała grecki, dokładnie słyszała każde słowo. Oczywiście o sobie. Kristian Koumantaros nie chciał jej tutaj. Pano tłumaczył, że niegrzecznie byłoby ją odprawić, na co Kristian oświadczył, że ma gdzieś grzeczność. Dwa tygodnie temu zrezygnował z usług jej agencji. Nie prosił, żeby przyjeżdżała. Nie jego wina, że traciła czas i pieniądze.

W tym momencie Elizabeth postanowiła wkroczyć do akcji. Wyprostowała ramiona, wzięła głęboki oddech, pchnęła drzwi do biblioteki i weszła do środka.

- Dobry wieczór, panie Koumantaros - zaczęła i powiodła wzrokiem po pokoju.

Zamknięte okna i okiennice, niski stolik do kawy zarzucony drobiazgami, stosy gazet, z pewnością nieprzeczytanych, na biurku.

- Wdarła się pani bezprawnie na teren prywatny i na dodatek pani podsłuchuje! - wykrzyknął Kristian Koumantaros i uniósł się groźnie w fotelu inwalidzkim.

Elizabeth nawet nie spojrzała w jego stronę i podeszła prosto do małego stolika zastawionego lekarstwami.

- Mówi pan takim podniesionym głosem, że nie muszę podsłuchiwać - odcięła się. - Natomiast co do wtargnięcia na teren prywatny, owszem, mógłby mi pan to zarzucić, gdyby nie był pan moim pacjentem, ale ponieważ tak się składa, że pan nadal nim jest, musi pan znieść moją obecność.

Z przyzwyczajenia zaczęła brać do ręki kolejne opakowania z lekami i czytać nazwy.

Kristian wyraźnie starał się chwytać wszystkie dźwięki, aby śledzić, co robi. Biały bandaż na oczach kontrastował z czernią włosów i podkreślał wyraziste rysy jego twarzy, wydatne kości policzkowe, ostry podbródek, mocne szczęki pokryte zarostem.

Dawno się nie golił, pomyślała Elizabeth. Pewnie odkąd odprawił ostatnią pielęgniarkę.

- Zrezygnowałem z usług pani agencji - oświadczył sucho.

- Niestety pańska decyzja została unieważniona.

- Przez kogo?

- Przez pańskich lekarzy.
- Przez moich lekarzy? - zdziwił się.
- Tak. Jestem z nimi w stałym kontakcie. Martwię się o stan pańskiej psychiki.
- Żarty sobie pani stroi.
- Skądże. Zastanawiają się nawet, czy nie lepszy byłby dla pana ośrodek...
- Niech się pani stąd wynosi! Natychmiast - syknął Kristian i wskazał drzwi.

Elizabeth nawet nie drgnęła. Spokojnie przyglądała się swojemu pacjentowi, który teraz wcale nie przypominał magnata przemysłowego o wyrafinowanym guście, właściciela zamków i rezydencji rozrzuconych po całym świecie, i mężczyzny otoczonego zastępem kochanek.

- Obawiają się o pana - ciągnęła. - Ja zresztą również - dodała. - Panu potrzebna jest pomoc.

- Nonsens! Gdyby moi lekarze tak się o mnie martwili, sami by przyjechali. A pani... Pani mnie nie zna. Widziała mnie pani dwie minuty i już pani wygłasza sądy.

- Śledzę pański przypadek od samego początku, to jest od momentu opuszczenia przez pana szpitala. Nikt nie wie o panu i pańskiej rehabilitacji tyle, co ja. I gdyby pan zawsze był taki przybity, sprawa byłaby inna, ale pańska depresja pojawiła się dopiero ostatnio...

- Nie cierpię na depresję. Jestem po prostu zmęczony.

- W takim razie postaramy się temu zaradzić - oznajmiła Elizabeth. Wyciągnęła oprawiony w skórę notes i wpisała swoje obserwacje. W interesie własnym i agencji zawsze prowadziła dokładną dokumentację. - To bardzo niedobrze, że jest pan wciąż w takim stanie i niedobrze, że się pan izoluje od świata. W Atenach czekają na pański powrót.

- Przeniosłem się tutaj na stałe.

- I w ogóle nie zamierza pan wracać?

- Latami remontowałem ten klasztor, starając się stworzyć tu nowoczesny dom, który sprostałby moim wymaganiom.

- Ale to było przed wypadkiem. Mieszkanie tutaj jest pod wieloma względami bardzo niepraktyczne - tłumaczyła. - Nie może pan latać...

- Niech mi pani nie mówi, co mogę, a czego nie mogę robić - przerwał jej ostrym tonem.

Elizabeth przełknęła ślinę, lecz nie dała się zbić z pantałyku.

- Rodzina, przyjaciele, nie mogą tu pana odwiedzać - ciągnęła. - Jest pan pustelnikiem.

- I to mi odpowiada.

- Ale jak może pan wyzdrowieć w pełni, skoro zaszył się pan w najdalszym zakątku Grecji, sam...

Kristian odwrócił głowę, jak gdyby chciał zgromić ją wzrokiem i oświadczył:

- Tu jest mój dom.

- A interesy? Praca? Czy i z tego pan zrezygnował tak jak z towarzystwa rodziny i przyjaciół?

- Takiego stosunku do pacjenta nauczono panią w szkole pielęgniarstwa? - spytał z nieukrywaną ironią w głosie.

- Nie przyjechałam pana rozpieszczać, prawić miłe słówka ani starać się pana rozśmieszyć. Moim zadaniem jest postawić pana na nogi - oświadczyła.

- To się pani nie uda.

- Bo woli pan być zdany na łaskę innych, a może obawia się pan bólu?

Kristian pobladł, milczał chwilę, potem wybuchnął:

- Jak pani śmie? Zjawia się pani tak po prostu w moim domu jak gdyby nigdy nic...

- Nie było to wcale takie proste - odcięła się. - Leciałam samolotem, jechałam taksówkami, autobusami i wózkiem zaprzęgniętym w osła. - To było ostatnie miejsce na ziemi, gdzie chciała się znaleźć, a Kristian był ostatnią osobą, jaką chciała się opiekować. - Od pańskiego wypadku minął prawie rok - ciągnęła. - Z medycznego punktu widzenia nie ma powodu, żeby był pan nadal w takim stanie.

- Proszę wyjść!

- Nie mogę. Po pierwsze, nie mam dokąd pójść. Po drugie, jest zbyt ciemno, żeby ryzykować jazdę wózkiem na dół.

- Nie wiedziałem. Nie widzę. Nie mam pojęcia, jaka to pora dnia.

Krew się w niej zagotowała. Ogarnął ją wstyd, poczuła odrazę, lecz nie do siebie, a do niego. Jeśli oczekuje współczucia, nie doczeka się go, a jeśli chce ją zastraszyć, to też mu się nie uda. Miliony, które posiada, nie wystarczą, aby wzbudzić jej szacunek. Na szacunek trzeba zasłużyć.

- Dochodzi czwarta. Połowa zbrocza tonie już w głębokim cieniu. Nie mogę się stąd ruszyć, nawet gdybym bardzo chciała. Poza tym lekarze powierzyli mi opiekę nad panem, więc muszę zostać. Alternatywą jest klinika w Atenach. Wybór należy do pana.

- Niewielki.

- Owszem. - Elizabeth otworzyła jedną z fiolek z lekarstwami i policzyła tabletki. Z trzydziestu zostały tylko trzy. - Wciąż ma pan problemy ze snem? - spytała.

- Tak.

- I wciąż ma pan silne bóle?

Najprawdopodobniej uzależnił się od środków uśmierzających, pomyślała.

- A co to panią obchodzi?

Elizabeth nawet nie mrugnęła powieką. Użalanie się nad sobą nie działało na nią. Było typowym objawem na pewnym etapie rekonwalescencji. Wczesnym etapie. I dowodziło, że Kristian Koumantaros nie zrobił postępów oraz że czeka go jeszcze bardzo długa droga.

- Obchodzi - odparła suchym tonem. Nie dodała, że obchodzi ją również przyszłość jej agencji pielęgniarstwa i że zapewnienie

Kristianowi fachowej opieki doprowadziło ją na skraj bankructwa. - Obchodzi - powtórzyła - lecz nie będę taka jak inni - dodała. - Nie będę się nad panem użalać, tolerować wymówek, pozwalając, aby morderstwo uchodziło panu na sucho.

- Co pani wie o morderstwie, Panno Świętsza od Papieża? - spytał i ruszył wózkiem do przodu.

Odłamki szkła zazgrzytały pod kołami.

- Uwaga! Przebiję pan oponę.

- To świetnie. Mam gdzieś opony. Nienawidzę tego wózka! Nienawidzę swojej ślepoty! Nienawidzę takiego życia! - wybuchnął, zaklął, potem nagle zgarbił się i spuścił głowę.

Rozpacz.

Ruina wielkiego człowieka.

Cień współczucia obudził się w sercu Elizabeth, lecz nie pozwoliła sobie na czułości. Szybko podjęła decyzję: on stanie na nogi. Nie ma żadnego powodu, żeby tego nie dokonał.

Dała znak Pano, że chce zamienić kilka słów z jego pracodawcą na osobności. Stary lokaj wycofał się, zabierając ze sobą szufelkę potłuczonego szkła.

- A więc, panie Koumantaros - zaczęła, kiedy zostali sami - musimy ostro zabrać się do roboty i realizować program rehabilitacji. Nie jest to jednak możliwe, jeśli pan odmawia współpracy z pielęgniarkami i je po prostu zastrasza.

- Były beznadziejne, niekompetentne...

- Wszystkie sześć? - przerwała mu.

Przysiadła na oparciu najbliższego fotela. Kristian w rekordowym tempie zmieniał pielęgniarki i Elizabeth nie miała już nikogo wolnego. A jednak wciąż potrzebował profesjonalnej całodobowej opieki. I dlatego przyjechała osobiście.

- Jedna nawet nie była taka najgorsza... pod pewnymi względami... - zaczął i zawahał się. - Taka młoda - ciągnął. - Miała na imię Calista. Ale niech mi pani wierzy, jeśli ona była najlepsza, to tylko świadczy o poziomie pozostałych.

- Panna Aravantinos już nie wróci - odparła Elizabeth lekko poirytowanym tonem.

Biedaczka. Dziewczyna prosto po szkole pielęgniarskiej była jak plastelina w rękach Kristiana Koumantarosa. Dosłownie. Jak na człowieka z tak ciężkimi fizycznymi obrażeniami, okazał się niezwykle biegły w uwodzeniu.

Kristian przechylił lekko głowę na bok i spytał:

- Tak miała na nazwisko?

- Potraktował ją pan bez najmniejszych skrępułów. Ma pan lat...? - Urwała i zerknęła do notatek. - Trzydzieści sześć. A ona dopiero skończyła dwadzieścia trzy. Odeszła z agencji. Bardzo się zniechęciła do pracy.

- Nie prosiłem, żeby się we mnie zakochała.

- Zakochała? - Elizabeth powtórzyła z nieukrywaną ironią. - Miłość nie miała z tym nic wspólnego. Cynicznie ją pan uwiódł. Zrobił to pan z nudów i czystej złości do całego świata.

- Myli się pani co do mnie, Siostrze Sekutnico - rzekł Kristian i uśmiechnął się kącikiem ust. - Jest pani Angielką, nieprawdaż?

- Mówię po angielsku.

- Cóż... Nie specjalizuję się w miłosnych podbojach.

Elizabeth zarumieniła się gwałtownie.

- Nie mówmy o tym - ucięła.

- Nigdy nie narzucałem się żadnej kobiecie - ciągnął, ignorując jej protest. Jego głos się zmienił, nabrał głębszej, cieplejszej barwy. - To Calista wzięła inicjatywę w swoje ręce. - Elizabeth ścisnęła długopis w rękę. Nie podobał jej się ani jego kpiący uśmieszek, ani jego ton. - Podejrzewam, że była ciekawa, do czego taki inwalida jak ja jest jeszcze zdolny. I przekonała się, że mimo iż nie mogę chodzić, to...

- Wypraszam sobie! - Elizabeth wstała gwałtownie. Nagle zrobiło jej się duszno w tym zamkniętym, zagraconym, pogrążonym w ciemności pokoju. - Nie mam ochoty wysłuchiwać tych szczegółów.

- Powinna je pani poznać - zaprotestował Kristian i pchnął wózek w jej stronę - bo jest pani źle poinformowana. To nie ja wykorzystałem Calistę, to ona wykorzystała mnie. Otrzymała to, co chciała.

Elizabeth odwróciła głowę i zacisnęła zęby. Po chwili rzekła:

- To była cudowna, młoda, obiecująca pielęgniarzka.

- Nie wiem, czy była cudowna, określiłbym ją raczej jako naiwną. I odkąd odeszła, pani specjalnie przysyłała same babsztyle z piekła rodem.

- Nie zatrudniamy babsztyli z piekła rodem. Wszystkie nasze pielęgniarki mają wysokie kwalifikacje, dobre podejście do pacjentów...

- I cuchną.

- Słucham? - oburzyła się Elizabeth. - To bardzo prostackie oskarżenie.

- Niemniej prawdziwe. I dlatego nie chciałem, żeby mnie dotykały.

Aha, czyli tu leży pies pogrzebany, pomyślała Elizabeth. Jemu nie chodzi o pielęgniarkę, lecz o gwiazdę z telewizyjnych show - burza włosów, duże piersi, obcisła mini...

Wzięła głęboki oddech, zmobilizowała całą siłę woli, żeby zachować chłodny profesjonalizm. Teraz już potrafiła sobie wyobrazić, jakimi sposobami doprowadzał kolejne kobiety do ostateczności, aż błagały, żeby je odwołać. Ze mną nie pójdzie ci tak łatwo, kochasiu, postanowiła.

- A Calista? Ona też cuchnęła?

- Nie. Calista pachniała cudownie. Ale potem specjalnie przysyłała mi pani same stare pudła. Może jestem ślepy, ale nie głupi.

- Przysyłałam kobiety dojrzałe, ale wykwalifikowane i doświadczone - odpowiedziała z godnością.

- Nie czarujmy się. Zastąpiła pani Calistę strażniczkami więziennymi.

Elizabeth uśmiechnęła się mimo woli. Kristian miał oczywiście rację. Po niefortunnej historii z Calistą nie ryzykowała, tylko wybierała pielęgniarki starsze, mało sympatyczne i odporne na uwodzenie. Wciąż się uśmiechając, przyjrzała się Kristianowi. Miał niesłychane szczęście, że przeżył wypadek. Obrażenia głowy były tak rozległe, iż podejrzewano uszkodzenie mózgu. Jednak jego mózg pracował niezawodnie. I podczas gdy ćwiczeniami można mu było przywrócić sprawność ruchową, istniały bardzo nikle szanse na przywrócenie wzroku.

- To już przeszłość - przemówiła, starając się nadać głosowi pogodne brzmienie. - Żadnych więcej raszpli. Teraz jestem tu ja i...

- I prawdopodobnie jest pani jeszcze gorsza od nich wszystkich razem wziętych - wpadł jej w słowo.

- Nie zaprzeczę. Podobno szeptają za moimi plecami, że dla pacjentów jestem spełnieniem się ich najgorszych koszmarów sennych.

- Więc nie pomyliłem się, nazywając panią Siostrą Sekutnicą?

- Może mnie pan nazywać, jak chce, zawsze odpowiem. -

Kristian słuchał w milczeniu. Tylko wargi zaciskał w coraz węższą linijkę. Elizabeth uśmiechnęła się do siebie. Znała te miny. Znała greckich potentatów. Z autopsji. Jeden z nich był kiedyś jej mężem. - Ale nie traćmy czasu - ciągnęła rześkim głosem. - Zacznijmy od

posiłków. Wiem, że co prawda pora jest już późna, ale co z lunchem?

Jadł pan dziś lunch?

- Nie jestem głodny.

Elizabeth zamknęła notatnik i wsunęła długopis na miejsce.

- Musi pan jeść. Pańskie ciało potrzebuje składników odżywczych - tłumaczyła. - Poproszę kucharkę, aby przygotowała jakąś lekką przekąskę - oznajmiła i natychmiast ruszyła w stronę drzwi, żeby uniknąć dyskusji.

Kristian pchnął wózek do przodu, zderzając się z kanapą. Jego twarz zdradzała najwyższe zdenerwowanie.

- Nie mam ochoty na jedzenie...

- Oczywiście, że nie. Po co jeść, skoro jest pan uzależniony od środków przeciwbólowych? - spytała retorycznie i obdarzyła go uśmiechem, którego nie mógł zobaczyć. - Przepraszam - dodała - idę porozmawiać z kucharką.

W kuchni z niskim łukowatym sklepieniem znajdującej się w wieży, czyli *pyrgos*, zastała lokaja Pano, kucharkę i gospodynię tak zaabsorbowanych rozmową, że nawet nie zauważyli, kiedy weszła.

Natychmiast gdy się zorientowali, że stoi obok nich, zamilkli i zwrócili twarze w jej stronę. Od razu spostrzegła, że nie wzbudziła ich sympatii.

Nie zdziwiła się. Po pierwsze, w odróżnieniu od poprzednich pielęgniarek, nie była Greczynką. Po drugie, mimo że cudzoziemka, płynnie mówiła po grecku. Po trzecie, nie okazywała ich pracodawcy,

bardzo bogatemu, bardzo wpływowemu Grekowi, należytego szacunku.

- Dzień dobry - zaczęła, ignorując lodowate spojrzenia. - Przyszedłam pomóc przygotować coś na lunch dla pana Koumantarosa - wyjaśniła.

Cała trójka patrzyła z osłupieniem. W końcu Pano, lokaj, odchrząknął i przemówił:

- Pan Koumantaros nie jada lunchu.
- Rozumiem, że późno je śniadanie?
- Pije tylko kawę.
- Więc kiedy jada pierwszy solidny posiłek?
- Dopiero wieczorem - padła odpowiedź.
- Aha. - Elizabeth ściągnęła brwi i spojrzała na troje służących.

Ciekawe, jak długo tu pracują, zastanawiała się, i jak znoszą jego humory. - Czy wówczas je z apetytem? - spytała.

- Czasami tak, czasami nie - odpowiedziała kucharka o krępej posturze, ubrana w biały wykrochmalony fartuch. - Dawniej to och, nasz pan miał apatyt... - dodała - *moussaka, dolmades*, sery, ryby, mięsa, warzywa... Ale to było przed wypadkiem.

Elizabeth kiwnęła głową na znak, że rozumie. Ucieszyła się, że przynajmniej jedna z tych osób pracowała dla Kristiana od dawna. Lojalność zawsze jest wartością samą w sobie, chociaż źle pojęta lojalność bywa też przeszkodą w procesie rekonwalescencji.

- Musimy poprawić mu apetyt - rzekła. - Zacznijmy teraz od lekkiej przekąski. Może *horiatiki salata!* - zaproponowała danie, które

większości Amerykanów i Europejczyków kojarzy się z kuchnią grecką: ser feta, cebula, pomidory, ogórki, oliwa doprawiona kilkoma kroplami octu winnego domowej roboty. - Pewnie znajdzie się miejsce na tarasie, gdzie pan Koumantaros usiadłby z przyjemnością, prawda? Potrzebuje świeżego powietrza, słońca...

- Jeśli pani pozwoli... - przerwał jej Pano. - Słońce razi pana Koumantarosa w oczy.

- To dlatego, że za dużo czasu przesiaduje w zacienionym pokoju - odpowiedziała. - Światło będzie miało na niego korzystny wpływ. Słońce pobudza pracę przysadki mózgowej, leczy depresję, przyspiesza gojenie. Ale dzisiaj, na początek, możemy równie dobrze usiąść gdzieś w cieniu - dodała.

- Tak, proszę pani - wtrąciła kucharka - tylko że pan Koumantaros nie zechce wyjść z domu.

- Nie ma obawy - zapewniła ją Elizabeth. Wiedziała, że w końcu wyjdzie, ale przedtem stoczą ze sobą ostrą walkę.

Z biblioteki Kristian słyszał oddalający się stukot obcasów angielskiej pielęgniarki, a po kilkunastu minutach dobiegły go znowu jej kroki.

Wracała. Świetnie.

Przechylił głowę, nie kierując wzroku na nic specjalnego, ponieważ od wypadku, czternaście miesięcy i jedenaście dni temu, otaczała go ciemność.

Drzwi otworzyły się. Po sposobie przekręcania gałki poznał, że to ona.

- Pomyliła się pani w jeszcze jednej sprawie - zaczął z miejsca. - Wypadek nie wydarzył się rok, a prawie półtora roku temu. W drugiej połowie lutego.

Przystanęła gdzieś z boku, pewnie wpatrywała się w niego, czekała. Złościła go niemożność widzenia, rozpoznawania reakcji rozmówcy. Zdobył swoją pozycję dzięki oczom, umysłowi, odwadze. Ufał swojemu wzrokowi, inteligencji, a teraz nie wiedział, co jest prawdą, a co udawaniem.

Tak właśnie było z Calistą.

- Tym gorzej - odezwała się nowa dręczycielka. - Skoro tak, to powinien już pan wrócić do pracy. Kieruje pan olbrzymią korporacją, armia ludzi od pana zależy. Ukrywając się w tej niedostępnej rezydencji, nikomu pan nie pomaga.

- Jak mogę kierować korporacją, skoro nie chodzę, nie widzę...

- Ale może pan chodzić. Jest też szansa, że odzyska pan wzrok.

- Mniej niż pięć procent! - prychnął. - Przed ostatnią operacją miałem trzydzieści pięć procent, ale coś spaprali i...

- Niczego nie spaprali - zaprotestowała. - To była pionierska operacja.

- I moje szanse spadły do zera.

- Nie do zera.

- Do pięciu procent. Niewielka różnica. I uprzedzają mnie, że nawet gdyby któraś operacja się udała, to nigdy nie będę mógł prowadzić samochodu, latać ani żeglować.

- Wobec tego woli pan siedzieć tutaj w ciemności z bandażami na oczach i użalać się nad sobą, tak?

Kristian poruszył się w fotelu. Ta kobieta, jej zadowolenie z siebie, jej poczucie wyższości, działały mu na nerwy.

- Zrezygnowałem z usług pani agencji - przypomniał.

- Niestety...

- Pani jest chyba głucha. Powtarzam, wysłałem wam czek.

Ostatni. Więcej nie będzie. Nie zapłacę za dalsze usługi. - Usłyszał lekkie westchnienie. Bardzo kobiece. Zawstydził się. Przecież jest kobieta, a on jest - zawsze był - dżentelmenem. Ech, zbyt czyste skrupuły. To jej wina. Przyjechała, zaczęła się szarogęścić. Żyje w ten sposób już półtora roku i nie potrzebuje, żeby ktoś mu prawił morały. Nie, nie... Pielęgniarka numer siedem reprezentowała tę samą mentalność, co jej poprzedniczki. W ich oczach osoba na wózku inwalidzkim jest niezdolna do samodzielnego myślenia. - Nie zapłacę więcej ani grosza - powtórzył. - Skończyłem z wami.

I znowu dobiegło go westchnienie. Nie! To był śmiech. Ta kobieta śmiała się z niego!

Śmiejąc się, podeszła bliżej, stanęła za fotelem. Musiała się nad nim pochylić, bo jej głos zabrzmiał zaskakująco blisko jego ucha, gdy rzekła:

- Ale to nie pan mi płaci. Umowa została odnowiona, z tym, że teraz pieniądze pochodzą z innego źródła.

Zimny dreszcz przebiegł mu po ciele.

- Co?

- Mówię prawdę. - Elizabeth zaczęła pchać wózek przed siebie. - Nie tylko ja uważam, że czas najwyższy, aby pan stanął na nogi. - Wciąż pchała wózek mimo jego oporu. - Wyzdrowieje pan, czy to się panu podoba, czy nie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kristian zacisnął dłonie na obręczach kół i zatrzymał wózek.

- Kto płaci za moją opiekę?

Elizabeth nienawidziła podobnych gier, nie popierała sekretów, lecz podpisała zobowiązanie i musiała dotrzymać słowa.

- Przykro mi, lecz nie mogę ujawnić nazwiska tej osoby - rzekła.

Jej odpowiedź rozwścieczyła go jeszcze bardziej.

- Nie godzę się, aby ktoś rościł sobie prawo do decydowania o mojej rehabilitacji, tym bardziej że jej poziom pozostawia wiele do życzenia.

Elizabeth poczuła się dotknięta do żywego. Oszczerstwem. To była jej agencja. Osobiście dobierała personel, osobiście szkoliła pielęgniarki. Kristian oczywiście nie miał o tym wszystkim pojęcia, lecz akurat teraz nie chciała mu tego uświadamiać.

W tej chwili najważniejsze było rozpoczęcie planowej rehabilitacji z regularnymi porami posiłków, ćwiczeń i relaksu. I dlatego powinien zjeść lunch.

- Porozmawiamy przy jedzeniu - odrzekła i pchnęła wózek w kierunku wyjścia na taras.

Kristian ponownie zacisnął dłonie na obręczach i zaprotestował:

- Nie znoszę, jak mnie się gdzieś wozi wbrew mojej woli.

Elizabeth po raz pierwszy przyjrzała się jego rękom widocznym spod podwiniętych rękawów błękitnej koszuli z egipskiej bawełny. Od łokcia do przegubu biegła ciemna blizna, jeden ze śladów licznych obrażeń odniesionych w wypadku. Przypomniała sobie, jak bardzo był połamany. Właściwie to cud, że przeżył. I dlatego nie pozwolę mu marnieć w pokoju z zasłoniętymi oknami, postanowiła.

- Wydaje mi się, że ma pan trudności z poruszaniem - odparła. Jej cierpliwość była na wyczerpaniu.

- Mogę sam dojechać, jeśli to niedaleko.

- Ale to nie to samo co własne nogi, prawda? - zaryzykowała.

Gdyby tylko mógł chodzić... Dlaczego nie próbuje? *Ornio*, nasunęło jej się greckie słowo. Bo się zawział. Jej poprzedniczki wcale nie przesadzały. Kristian był uparty jak osioł.

- Szczególny sposób dodawania otuchy - prychnął.

No, no, sprytna sztuka z tego Kristiana, pomyślała Elizabeth. Jest napastliwy, a zaraz potem odgrywa ofiarę. I, co gorsza, niemal udaje mu się wyprowadzić mnie z równowagi. Niedoczekanie!

- To stwierdzenie faktu - odcięła się. - Pańskie mięśnie uległy atrofii i dlatego wciąż porusza się pan na wózku. A z początku lekarze dawali panu nadzieję.

Sędzili, że pan chce chodzić, dodała już w myśli.

- Nie udało się.

- Bo zbyt bolalo?

- Terapia była nieskuteczna.

- Sam się pan poddał. - Chwyciła rączki za oparciem wózka i mocno pchnęła go do przodu. - Więc co będzie z lunchem?

Kristian nie puszczał kół.

- Proponuję układ: powie pani, kto mi zafundował pani usługi, a wtedy zjemy lunch.

Elizabeth w duchu podziwiała jego zręczność w prowadzeniu negocjacji. Nie ulegało wątpliwości, że miał cechy przywódcze i zawsze panował nad sytuacją. Ale trafiła kosa na kamień.

- Nie mogę zdradzić nazwiska. Nie powiem, dopóki nie zacznie pan chodzić - dodała.

Obejrzał się, mimo że nie mógł jej zobaczyć.

- A więc jednak może mi pani ujawnić, kim jest ten tajemniczy dobroczyńca.

- Dopiero kiedy zacznie pan chodzić.

- Czemu nie wcześniej? Wzruszyła ramionami.

- Tak jest zapisane w umowie.

- Ale pani zna tę osobę?

- Rozmawiałam z nią przez telefon. Kristian zamilkł na chwilę. Namyślał się.

- Ile mi to zajmie czasu? - spytał w końcu.

- To zależy tylko i wyłącznie od pana. Niestety ścięgnięta stawu kolanowego i mięśnie ud przykurczyły się, lecz nie jest to proces nieodwracalny. Regularne ćwiczenia przywrócą im sprawność.

- Ale nawet wtedy będę potrzebował balkonika.

Elizabeth zauważyła gorycz w jego głosie, lecz nie skomentowała tego.

- Balkonika albo laski. To lepsze od wózka, prawda? Znowu będzie pan niezależny...

- To nie to samo. Już nie będzie tak jak dawniej.

- Cóż, każdy musi się przyzwyczaić do zmian.

- Niech mnie pani nie poucza - burknął.

- Nawet nie próbuję. Chcę pana zrozumieć. Jeśli nie może się pan pogodzić z tym, że inni zginęli, a pan przeżył, to...

- Dość tego! - ryknął. - Ani słowa więcej!

- Niech pan posłucha... To, że tamci umarli, a pan nie, w niczym nie umniejsza pana jako człowieka.

- Jeśli pani tak mówi, to mnie pani nie zna. Nie wie pani, kim jestem teraz, a kim byłem przedtem. Najlepsza część mnie, to, co było we mnie dobre, umarła na tamtym zboczach. Dobro zginęło, kiedy ratowałem kogoś, kogo nawet nie lubiłem. - Urwał i zaśmiał się krótko, nieprzyjemnie. - Nie jestem bohaterem, lecz potworem. - Znowu urwał, sięgnął do twarzy i zerwał bandaż. - Widzi pani

potwora? - Elizabeth aż wstrzymała oddech. Przez prawy policzek Kristiana biegła poszarpana blizna, kończąc się tuż pod okiem. Jeszcze świeża, różowa, ale pewnego dnia zblednie i stopi się z karnacją, o ile Kristian będzie unikał słońca. Lecz Elizabeth nie patrzyła na bliznę. To nie jej widok wywołał skurcz w jej sercu. Kristian Koumantaros był pięknym mężczyzną. Więcej niż pięknym. Nawet z blizną przypominającą zygzak błyskawicy na policzku. - Bóg obdarzył mnie twarzą, która jest zwierciadłem duszy - rzekł Kristian. - Nareszcie wyglądam tak samo wewnątrz, jak i na zewnątrz - dokończył.

- Nieprawda - szepnęła Elizabeth. Słowa Kristiana zabolęły ją, łzy zaszczyły pod powiekami.

- Jeśli Bóg obdarzył pana twarzą, która jest zwierciadłem duszy, to pańska dusza jest piękna. Blizna nie oszpeciła pańskiej twarzy, nie oszpeciła duszy. Po prostu jest znakiem, że pan żył... że kochał - dokończyła. Kristian milczał. - Poza tym - ciągnęła - uważam, że pasuje do pana. Przedtem był pan zbyt urodziwy.

Kristian milczał jeszcze moment, potem wybuchnął śmiechem, gardłowym, niemal zwierzęcym.

- Nareszcie! Nareszcie ktoś powiedział mi prawdę!

Ból rozdzierał jej serce. Oszpecona twarz, zrujnowane życie, gniew, ogień, pasja - wszystko to wzruszało ją do głębi. Cierpienie Kristiana miało nadludzki wymiar.

- Nawet z blizną jest pan bardzo przystojnym mężczyzną - odezwała się.

- Jest potworna. Czuję ją pod palcami. Biegnie przez całą twarz.
- Czyżby był pan próżny?
- Nikt nie chce wyglądać jak twór Frankensteina - odparł i znowu zaśmiał się cierpko.

Odgadła, że to nie oszpecona twarz jest przyczyną jego załamania, lecz stan duszy, umysłu. Prześladowają go wspomnienia. Obrazy z przeszłości każą mu wciąż od nowa przeżywać katastrofę. Znała ten stan, sama go doświadczyła. Ona także długo przeżywała pewien wypadek z najdrobniejszymi szczegółami, tak jak gdyby oglądała film klatka po klatce. Lecz w tej chwili nie mogła sobie pozwolić na to, aby jej uczucia przyćmiły rozsądek.

Z najwyższym trudem opanowała się i przybrała zawodowy dystans. Nie przyjechała tutaj dla niego, lecz dla pracy. W Atenach czeka na niego kobieta. To jej zależy, aby zaczął chodzić, funkcjonować, odzyskał wzrok.

- Daleko panu do potwora Frankensteina - zapewniła Kristiana rześkim tonem. - Ale skoro lubi pan komplementy, proszę bardzo. Dzięki tej bliźnie nie wygląda pan jak model albo filmowy amant, a bardziej jak człowiek.

- Człowiek - powtórzył.

- Tak, człowiek. I przy pewnej dozie szczęścia oraz ciężkiej pracy już wkrótce będzie pan sprawny jak dawniej. - Na twarzy Kristiana odmalowały się sprzeczne emocje: zdziwienie, zmieszanie, w końcu gniew. No tak, zaskoczyłam go i dotknęłam do żywego, pomyślała Elizabeth. Szukała właściwych słów, żeby go przeprosić, a

jednocześnie jeszcze bardziej nie urazić. On żyje w swoim własnym piekle. Już łagodniejszym głosem przemówiła: - Zjeżdżał pan na nartach z najbardziej niedostępnych zboczy, w zamieci śnieżnej pilotował helikopter, uratował pół tuzina...

- Wystarczy - uciął.

- Wszystko przed panem - Elizabeth nie dawała za wygraną.

Po to została pielęgniarką, żeby pomagać zranionym, a nie zadawać nowe rany, lecz czasami pacjenci byli tak przytłoczeni fizycznym bólem i psychicznym cierpieniem, że działali na własną szkodę.

Wyjątkowi mężczyźni - odważni, ryzykanci, utalentowani - załamywali się. Wiedziała z doświadczenia, że ci mężczyźni jeśli nie wyładują gniewu, nie znajdą ujścia dla bólu, unicestwiają się.

Przysięgła sobie, że znajdzie jakieś ujście dla gniewu Kristiana, jakiś sposób przemienienia bólu w wartość. I zanim zdołał się odezwać, zaprzeczyć, wspomniała o czekającym na nich nakrytym stole i zaczęła wychwalać kucharkę i lokaja za starania, żeby przyszykować późny lunch.

- Pańska służba jest niezrównana. Nakryli dla nas na tarasie. Czujecie pan ten lekki wiaterek? A zapach sosen?

- Nie.

- To proszę podjechać tu, gdzie stoję. Czuć woń ziół z ogrodu. Rozmaryn. Trawa cytrynowa...

Kristian cofnął się w głąb pokoju.

- Tam jest zbyt jaskrawe światło. Boli mnie od tego głowa.

- A jeśli założę z powrotem bandaże? - zaproponowała.

- Nawet wtedy - odpowiedział. W jego głosie zabrzmiały ostre, gniewne tony. - I nie mam ochoty na lunch. Już to pani mówiłem, ale pani mnie nie słucha. Nikt mnie nie słucha.

- Możemy zjeść w domu, jeśli...

- Nie mam ochoty na lunch - powtórzył z naciskiem i mocno pchnął wózek, zderzając się ze stolikiem, co z kolei wywołało potok przekleństw.

Elizabeth opanowała odruch, żeby podbiec i mu pomóc. Wiedziała, że gdyby tak postąpiła, popełniłaby błąd. Nie może go wyręczać, bo Kristian nadal będzie uciekał od życia i aktywności i coraz bardziej pograżał się w ciemnej otchłani swojej duszy.

Zostawiła go więc miotającego się, klnącego i kopiaącego przewrócony stolik, odwróciła się i spokojnym krokiem wyszła na taras, gdzie czekał stół ozdobiony bukietem polnych kwiatów.

Ta rozmowa wiele ją kosztowała. Jeszcze nigdy nie była, nie musiała być, wobec pacjenta tak brutalnie szczera, lecz nie widziała innego wyjścia. Jej agencja próbowała wszystkiego, przysyłała mu najlepiej wyszkolone pielęgniarki, proponowała różne metody terapii, wszystko bez skutku.

Z wdzięcznością usiadła przy stole. Zdawała sobie sprawę z tego, że jej zmęczenie nie było spowodowane tylko uporem Kristiana.

Zaintrygował ją jako człowiek.

I nie chodziło tylko o jego niezwykłą urodę, dzikość w rysach i całej posturze. Nie była tak płytka, żeby ulec fascynacji jego

wyglądem, chociaż musiała przyznać, że jest wyjątkowo przystojnym mężczyzną. Więc na czym to polegało? Dlaczego nagle łyzy zaczęły ją dławić w gardle?

Starając się opanować, rozłożyła lnianą serwetkę na kolanach.

W tej samej chwili przy stoliku zjawił się Pano z butelką wody mineralnej.

- Wody?

- Bardzo proszę.

- Czy pan Koumantaros się do pani przyłączy? Elizabeth spojrzała w stronę zamkniętych drzwi do biblioteki. Zawahała się chwilę, zanim odpowiedziała:

- Nie. Ale spróbujemy namówić go na kolację.

- To nic mu nie podawać, nawet gdyby poprosił? - zdziwił się lokaj.

- Wiem, że to brzmi okrutnie, lecz jakoś muszę do niego dotrzeć, zmusić do współpracy. Nie może wiecznie chować się tu przed światem. Jest zbyt młody. Wiele osób za nim tęskni.

Pano kiwnął głową ze zrozumieniem.

- Powiem, żeby podano lunch - rzekł i oddalił się, zostawiając wodę mineralną na stoliku.

Po chwili zjawiła się pokojówka, niosąc *souvlaki* z ogórkiem i świeżym, ciepłym chlebem *pitta*.

Elizabeth nie od razu zabrała się do jedzenia, dając Kristianowi czas, aby jeszcze zmienił zdanie i do niej dołączył. Po piętnastu minutach zrezygnowała. Kristian się nie pojawił.

Po lunchu Elizabeth postanowiła sprawdzić, jak się ma jej pacjent.

- Smakowało? - spytał Kristian, gdy weszła. W jego głosie brzmiała nuta goryczy.

- Owszem - odpowiedziała. - Ma pan wyśmienitą kucharkę.

- Podobał się pani widok?

- Oszłamiający - przyznała, chociaż niewiele czasu poświęciła podziwianiu krajobrazu.

Cały czas myślała o nim. Od lat nie czuła się tak głęboko zaangażowana w sprawę jakiegoś pacjenta. Co prawda, dawno osobiście nie zajmowała się żadnym.

Po szkole pielęgniarstwa trzy lata pracowała w szpitalu, potem wróciła na studia i zrobiła dyplom z zarządzania sferą usług medycznych. Natychmiast znalazła pracę, lecz po pewnym czasie postanowiła się usamodzielnic i założyła niewielką ekskluzywną agencję pielęgniarstwa.

Przypadek Kristiana Koumantarosa był wyjątkowy. Pod opieką jej agencji pacjent nie tylko nie zrobił żadnych postępów, lecz jego stan nawet się pogorszył.

Elizabeth nie mogła się z tym pogodzić.

Z notatnikiem w ręku usiadła na kanapie i przystąpiła do rzeczy.

- Panie Koumantaros - zaczęła - wiem, że nie życzy pan sobie pielęgniarki, lecz uważam, że jest ona panu potrzebna. Nawet nie jedna, a kilka.

- To może cały zastęp? - spytał z sarkazmem w głosie.

- Może i zastęp. Zobaczymy. - Elizabeth otworzyła notatnik, przejrzała poprzednie wpisy i dopisała kilka uwag. - Na stałe potrzebna jest osoba do pomocy przy kąpielach i higienie osobistej. Najlepiej, żeby to był mężczyzna. Na tyle silny, aby mógł podnieść pana z wózka, albo na nim posadzić, skoro odmawia pan chodzenia.

- Ja nie odmawiam, ja nie mogę chodzić!

- Mógłby pan, gdyby pan pracował z czterema poprzednimi fizjoterapeutami. Oni się starali postawić pana na nogi, ale pan skupił się na uprzykrzaniu im życia, nie na ćwiczeniach. - Elizabeth ponownie zanotowała coś na kartce, potem ciągnęła: - Poza tym potrzebny jest ktoś do terapii zajęciowej, ponieważ koniecznie trzeba zmienić pański tryb życia. Skoro nie zamierza pan wyzdrowieć, trzeba zainstalować podjazdy, drugą windę, uchwyty w łazience i w basenie...

- Nie! - ryknął i twarz mu pociemniała z gniewu. - W tym domu nie będzie żadnych balustrad ani żadnych uchwytów!

Elizabeth pstryknęła długopisem.

- Niewykluczone, że czas wezwać psychiatrę - stwierdziła. - Kogoś, kto oceni stan pańskiej depresji i opracuje program wychodzenia z niej. Zapisze leki, ewentualnie psychoterapię.

- Nigdy nie będę rozmawiał...

- Właśnie pan rozmawia - przerwała mu wesołym głosem, notując kolejne spostrzeżenia. Spod długich rzęs zerknęła na Kristiana Koumantarosa. Siedział sztywno wyprostowany, z zaciętym wyrazem twarzy i dłońmi zaciśniętymi w pięści. Świetnie, pomyślała i z

głośnym stukiem postawiła kropkę na końcu zdania. Nie zrezygnował z życia, tylko z szans wyzdrowienia. Ona, jej agencja, nadal mogą coś działać. Przyglądała mu się chwilę, potem ciągnęła: - Rozmowa, pomoc psychologa, zmniejszy depresję. Bo to właśnie depresja hamuje u pana proces dochodzenia do zdrowia.

- Nie mam depresji - upierał się.

- Nazwijmy to bezsilną wściekłością. Bo pana przepelnia wściekłość. Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, jakim tonem pan mówi.

- Tonem? - Opadł gwałtownie na oparcie fotela, ręce bezwładnie opuścił wzdłuż boków. - Wchodzi pani nieproszona do mojego domu i poucza mnie, jakim tonem mam mówić! Za kogo się pani uważa, do diabła! - Ten wybuch złości dotknął ją bardziej niż słowa. Pokój zawirował jej przed oczami. Głos uwiązał jej w gardle, wstrzymała oddech. - Pani się wydaje, że jest pani chodzącą doskonałością - szydził Kristian. - Jest pani przekonana o słuszności swojego postępowania, nie ma pani cienia wątpliwości w żadnej sprawie. A gdyby ziemia usunęła się pani spod stóp, to co? Wciąż byłaby pani taka nieczuła?

Kristian oczywiście nie wiedział, że ziemia już usunęła się jej spod stóp. Nikt nie przejdzie przez życie niepoturbowany. Lecz jej osobiste dramaty wzmocniły ją i teraz myślała o dawnych ranach jak o starych bliznach... jak o czymś, co stało się częścią niej. Niemniej była wdzięczna, że Kristian nie może zobaczyć wyrazu jej twarzy i sprzecznych emocji, które się na niej malują. Jej dramat rozegrał się

siedem lat temu, lecz gdyby nie ogromny wysiłek woli, bolałby tak, jak gdyby to było wczoraj. Chrapliwy śmiech Kristiana przerwał przedłużające się milczenie. - Trafiłem! Trudno sądzić kogoś, jeśli się nie przeżyło tego, co on.

Przez otwarte drzwi na taras wpadały do pokoju trele ptaka, który towarzyszył jej przy lunchu.

- Nie jestem taka bezduszna, za jaką mnie pan ma - zaczęła Elizabeth zimnym tonem, który przeczył jej słowom. - Moim zadaniem jest panu pomóc i dołożę wszelkich starań, żeby doprowadzić pana do następnego etapu rekonwalescencji.

- Po co miałbym chcieć wyzdrowieć? - zapytał. - I niech mi pani nie truże, że życie przede mną, że znajdę prawdziwą miłość, założę rodzinę i tym podobne.

Elizabeth uśmiechnęła się krzywo. Nie, nie, ona nigdy nie posłuży się obietnicą miłości jako motywacją do wyzdrowienia, bo wie, że miłość to efemeryda.

- Nie mam takiego zamiaru. Chyba zdążył mnie pan już poznać na tyle, żeby wiedzieć, że to nie w moim stylu.

- To niech mi pani powie, po co mam się wysilać, żeby wyzdrowieć. No, po co?

Istotnie, po co? Serce zaczęło jej bić szybciej, puls przyspieszył. Ogarnął ją gniew i... i współczucie.

- Bo pan wciąż żyje. Po to.

- Po to? - Kristian zaśmiał się gorzko. - To niewielka zachęta.

- Trudno - odparła. To jego rozczulanie się nad sobą doprowadzało ją do. wściekłości. Nic nie mogła na to poradzić. Przecież może kochać i być kochanym, myślała. - Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby. Dostał pan życie. Jego jakoś zależy od pana. A jeśli nie chce pan żyć dla siebie, niech pan żyje dla tych, którzy nie zdołali wydostać się spod lawiny - urwała, wzięła głęboki oddech i dokończyła: - Dla Cosimy. Dla Andreasa.

ROZDZIAŁ TRZECI

Cosima i Andreas. Kristian był zaskoczony, że Angielka zna ich imiona. To właśnie oni dwoje go prześladowali w snach.

Każde z innego powodu.

Poruszył się na łóżku. Nie mógł znaleźć sobie wygodnej pozycji do leżenia. Czasami ból w nogach się nasilał i akurat teraz był nie do zniesienia.

Wypadek. Zimowe wakacje z rodziną i przyjaciółmi we francuskich Alpach.

Po wypadku przez wiele tygodni był w śpiączce, a kiedy go wybudzono, przez następne kilka tygodni leżał unieruchomiony, by kręgosłup się zróśł. Powiedziano mu, że ma szczęście, iż uniknął trwałego paraliżu, że ma szczęście, iż w ogóle przeżył ten horror.

Ale dla niego horror się nie skończył. I nie chodziło o utratę wzroku czy sił. Chodziło o Andreasa, który był nie tylko jego starszym bratem, ale najlepszym przyjacielem.

Mimo że łączyła ich pasja do sportów ekstremalnych - uprawiali narciarstwo, nurkowanie, lotniarstwo - bardzo różnili się od siebie, nie tylko fizycznie. Jasnowłosy Andreas był grzecznym chłopcem, a brunet Kristian buntownikiem.

Razem tworzyli niesamowitą parę. Jak pracowali, to pracowali, jak szaleli, to szaleli na całego.

Zamiłowanie do sportów odziedziczyli po rodzicach. Ich ojciec, Stavros, był zapalonym sportowcem, matka, z pochodzenia Francuzka, reprezentowała swój kraj w Zimowych Igrzyskach Olimpijskich.

To ojciec nauczył ich szacunku do gór, dokładnego studiowania prognoz pogody, sprawdzania z ekspertami od lawin warunków śniegowych. Nie ryzykowali bezmyślnie.

Lecz mimo to nie uniknęli tragedii.

To Andreas był przyczyną jego bezsenności. To przez Andreasa potrzebował środków uśmierzających ból.

Dlaczego nie ratowałem przede wszystkim jego? Dlaczego zwlekałem?

Kristian znowu zmienił pozycję. Jego nogi ogarnął żywy płomień. Lekarze tłumaczyli, że to oznaka gojenia się kości i tkanek, lecz ból był nie do zniesienia.

Sięgnął do nocnego stolika i po omacku zaczął szukać fiołki z pastylkami. Nie znalazł. Aha, ta nowa sekutnica musiała je zabrać, domyślił się.

Gdyby tylko udało mu się zasnąć, odprężyć się. Może wówczas ból by ustąpił?

Lecz o odprężeniu nie mogło być mowy. Nie potrafił przestać rozpamiętywać wydarzeń tamtego dnia na Le Meije.

W dziesiątkę zdecydowali się na ostatni zjazd. Cały tydzień uprawiali heliskiing - narciarstwo helikopterowe, czyli jazdę na nartach w świeżym głębokim śniegu poza trasami, gdzie dostać się można tylko helikopterem. To był przedostatni dzień ich pobytu. Warunki pogodowe wyglądały na dobre, instruktorzy nie zgłaszali zastrzeżeń, śmigłowiec wysadził ich i odleciał. Niecałe dwie godziny później żyły już zaledwie trzy osoby z ich grupy.

Cosima ocalała, Andreas nie.

Kristian uratował Cosimę, zamiast brata, i ta decyzja wciąż nie dawała mu spokoju.

Nigdy nawet nie lubił Cosimy. Już przy pierwszym spotkaniu wydała mu się pustą dziewczyną lubiącą błyszczeć na imprezach i przez następne dwa lata nie zmienił o niej zdania. Oczywiście Andreas tego nie dostrzegał, za to podziwiał jej urodę, klasę i styl.

Zdesperowany, Kristian ponownie sięgnął do nocnego stolika. Przewrócił się na brzuch i po omacku przeszukał szufladki. Niestety niczego w nich nie znalazł.

Nagle przypomniał sobie o fiolce schowanej pomiędzy materacami, lecz gdy chciał ją wyjąć, drzwi od jego sypialni otworzyły się i pstryknął wyłącznik światła.

- Nie może pan zasnąć? - rozległ się głos sekutnicy, robiącej nocny obchód.

- Wprowadza pani szpitalny reżim? Kristian przewrócił się z powrotem na plecy i podciągnął wyżej na poduszki. Elizabeth zbliżyła się do łóżka.

- Już od bardzo wielu lat nie pracuję w szpitalu. Moja agencja specjalizuje się w opiece domowej - przypomniała.

Z odgłosu jej kroków Kristian starał się odgadnąć jej wiek. Zabawiał się tak samo z innymi pielęgniarzkami. Skoro nie mógł ich zobaczyć, wyobrażał je sobie. Teraz próbował stworzyć w myśli obraz Elizabeth Hatchet. Wiek? Po trzydziestce. Bliżej czterdziestki. Włosy? Brązowe, rude, czarne? A może blondynka? Tymczasem Elizabeth nachyliła się nad łóżkiem. Poczul bijące od niej ciepło i ten sam świeży, odrobinę słodkawy zapach, na który zwrócił uwagę już wcześniej. Z nutą słońca. I deszczu. - Nie może pan zasnąć? - powtórzyła.

Jej głos zabrzmiał nęcąco blisko.

- Nigdy nie śpię.

- Bóle?

- Moje nogi płoną żywym ogniem.

- Musi pan ich używać. Ćwiczyć. Dzięki ruchowi poprawi się krążenie i z czasem ból minie.

Jak na kobietę z tak szorstkim podejściem do pacjenta, głos miała wyjątkowo przyjemny. Przywodził na myśl instrumenty

smyczkowe w orkiestrze. Nie wiolonczelę... nie kontrabas... Skrzypce. Ciepły, słodki, działający na wyobraźnię.

- Jest pani taka pewna tego, co mówi.

- To moja praca. Proszę mi opowiedzieć, czym się pan zajmuje, oprócz rzucania się w dół stromych przepaści.

- Nie apróbuję pani narciarstwa ekstremalnego?

Elizabeth poczuła ucisk w piersi. Narciarstwo ekstremalne.

Zjazd po niemal pionowym zboczu. Ucieczka przed lawinami.

Uważała, że to absurd w ten sposób wyzywać los. Niecierpliwym ruchem wygładziła kołdrę i prześcieradło w nogach łóżka.

- Nie apróbuję ryzykowania życia dla sportu.

- Ale sport to przecież gimnastyka. Czy nie na to mnie pani namawia? - zaczął się z nią droczyć.

Elizabeth spojrzała na niego, widząc, że kolejny raz stara się ją sprowokować. Nie miał na sobie góry od piżamy, jego nagi tors i szerokie ramiona wyglądały imponująco. Doszło do niej, że robi to specjalnie. Tak było z jej poprzedniczkami. Stara się rozproszyć ich uwagę, odciągnąć od obowiązków. To dla niego forma rozrywki. Coś, co odwraca jego myśli od wypadku i jego tragicznych konsekwencji.

- Jest wiele bezpieczniejszych sportów. I tańszych.

- Więc co budzi pani większe zastrzeżenia, ryzyko czy koszty?

- I jedno, i drugie - odparła pewnym tonem.

- Co za odmiana - westchnął. - Angielka, która ma zdecydowane poglądy na wszystko.

Ponownie nie dała się sprowokować. Niedoczekanie.

- Pańskie poduszki - zmieniła temat. - Zaraz je panu po... -
Kristian musiał niedosłyszeć, bo kiedy się pochyliła, on akurat wyciągnął rękę i dotknął jej włosów. Odkoczyła jak oparzona. Znała jego reputację kobieciarza, nie sądziła jednak, że spróbuje swoich sztuczek z nią. - Obawiam się, że nie widząc, nie zorientował się pan, że jestem tak blisko - odezwała się chłodnym tonem. - W przyszłości poproszę, żeby się pan odsunął, kiedy będę poprawiać poduszki albo kołdrę.

- To przez pani włosy - zaczął się usprawiedliwiać. - Opadły mi na twarz.

- Przepraszam. Jutro będę pamiętać, żeby je związać.

- Ma pani bardzo długie włosy - zauważył. Elizabeth nie chciała, aby rozmowa zeszła na tematy osobiste. Sam powrót do Grecji był dla niej wystarczającym stresem, a odizolowanie od świata tu, w górskim klasztorze, nie poprawiało jej nastroju. - Wyobrażałem sobie, że nosi pani włosy krótkie i kręcone - ciągnął - a jeśli długie, to upięte w kok. Brzmienie pani głosu wskazuje, że jest pani kobietą, która lubi, żeby każdy włoszek był na swoim miejscu.

Kristian wciąż próbował ją sprowokować, zmusić do bardziej emocjonalnej reakcji.

- Lubię koki - odpowiedziała. - To praktyczna fryzura dla pielęgniarce.

- A pani jest profesjonalna w każdym calu - zadrwił.

Elizabeth zeszywniała.

Jej były mąż, również grecki magnat, zmienił dwa lata jej życia w piekło, zanim w końcu się od niego uwolniła. Potem pięć lat dochodziła do siebie. Jeden grecki playboy złamał jej serce. Nie pozwoli, żeby drugi złamał jej ducha!

Wyprostowała się, uniosła dumnie głowę.

- Skoro niczego więcej pan nie potrzebuje, dobranoc - rzekła i wyszła, zanim zdążył się odezwać.

Gdy tylko znalazła się w korytarzu, siły ją opuściły. Zachwiała się i musiała przytrzymać ściany, żeby nie upaść.

Nie da rady.

Nie może tu zostać, żyć w ten sposób, znosić tego typu tortury.

Nienawidziła zepsutych, nadętych Greków, szczególnie greckich potentatów mających zbyt wiele wolnego czasu.

Po rozwodzie przysięgła sobie, że nigdy nie wróci do Grecji, lecz oto tu jest.

Wzięła głęboki oddech.

Nie może dopuścić, żeby jutrzejszy dzień był powtórką dzisiejszego. Sytuacja zaczęła wymykać się jej spod kontroli, Kristian Koumantaros ma ją za psi pazur, sonduje, na ile może sobie wobec niej pozwolić.

Tak dalej być nie może, postanowiła. Pacjent jej nie szanuje, nie słucha poleceń, drwi sobie z niej, robi wszystko, żeby zbić ją z pantafyku.

Jutro, jutro, powtarzała sobie po drodze do sypialni, pokażę mu, kto tu rządzi.

Potrafię. Muszę.

W przydzielonym jej przez gospodynię pokoju, który jak wszystkie pomieszczenia w wieży miał wysoki zdobiony sufit, po upalnym dniu wciąż było dość gorąco. Elizabeth podeszła do jednego z trzech łukowatych okien i otworzyła je, żeby wpuścić do środka chłodne nocne powietrze. Widok stąd był imponujący. Widziała spowity światłem księżyca ogród, a dalej dolinę między urwiskami. Miejsce było przepiękne, lecz również bardzo niebezpieczne.

Elizabeth usiadła przed toaletką z lustrem, zwinęła długie włosy w węzeł i spięła na czubku głowy. Przyglądając się swojemu odbiciu, zamyśliła się. Jasne oczy, owalna twarz z mocno zarysowanym podbródkiem... Skrzywiła się. Kiedy żyła w luksusie i bardziej zajmowała się sobą, jej włosy były jaśniejsze, w odcieniu szampana, bardziej miękkie, bardziej lśniące. Lecz już dawno pożegnała się z drogimi fryzjerami, strojami od światowych krawców i wspaniałymi rezydencjami. Porzuciła tryb życia, jaki wydawał jej się tak naturalny, jak imię i nazwisko.

Było, minęło.

Lecz teraz, przyglądając się sobie w lustrze, dostrzegła błysk w oczach, świadczący o tym, że nie minęło.

Kariera zawodowa dała jej możliwość ucieczki, zapewniła poczucie bezpieczeństwa, narzuciła reżim dnia. Dała też satysfakcję. Dała pozycję. Nauczyła kierować ludźmi.

I właśnie jutro zmusi Kristiana Koumantarosa do współpracy.

Oby jej się udało.

Następnego ranka Elizabeth obudziła się wcześniej pełna zapału do pracy. Mimo że dochodziła siódma, klasztor pogrążony był w ciemności i tylko w kilku oknach paliło się światło.

Elizabeth włożyła jasnobłękitną koszulową bluzkę i granatową spódnicę - swoją wersję pielęgniarskiego mundurka - i udała się do kuchni na śniadanie.

Zaskoczona kucharka wpadła w popłoch, lecz Elizabeth uspokoila ją, że zadowoli się kawą i czymkolwiek do zjedzenia.

Przy kawie, okropnej lurze, i serowym placku tiropita Elizabeth wypytała Pano o zwyczaje jego chlebodawcy.

Dowiedziała się, że Kristian zazwyczaj śpi do późna, potem wypija w łóżku kawę i dopiero później przenosi się do biblioteki, gdzie spędza cały dzień.

- I czym się zajmuje? - spytała. Pano namyślał się chwilę, na koniec wzruszył tylko ramionami. - Niczym? - domyśliła się.

- Jest mu trudno - lokaj wziął Kristiana w obronę.

- Rozumiem, że z początku ćwiczył z rehabilitantem, ale potem coś zaszło, tak?

- Tak. Chodzi o tę operację oczu. - Pano westchnął ciężko. - Jeszcze wtedy pan Koumantaros trochę widział, niewiele, ale światło, cień, rozpoznawał kształty. Teraz jest kompletnie ślepy.

Elizabeth wiedziała, że całkowita utrata wzroku jest dla pacjentów ogromnym ciosem.

- Z dokumentów choroby wynika, że wciąż jest szansa na leczenie i przywrócenie widzenia. Bardzo nikła, ale jest. - Pano znowu wzruszył ramionami. - Dlaczego nie chce się poddać kuracji?

- Przypuszczam... przypuszczam, że się boi. To ostatnia nadzieja. Tak długo, jak odwleka kolejną operację, ma nadzieję, że pewnego dnia odzyska wzrok. Po operacji, jeśli się nie udała, już tę nadzieję straci.

Elizabeth doskonale go rozumiała. Lecz w miarę upływu godzin, kiedy Kristian wciąż nie wstawał, jej współczucie dla niego malało.

Co to za życie? Ma zamiar przespać cały dzień?, irytowała się. Około południa zajrzała do jego pokoju. Jeszcze się nie obudził.

Odszukała więc Pano.

- Czy pan Koumantaros zawsze tak późno wstaje? - spytała.

- To wcale nie jest późno - odparł lokaj. - Nie dla niego.

Zazwyczaj śpi do pierwszej, albo nawet drugiej.

- I pielęgniarki mu na to pozwalały? - Elizabeth nie potrafiła ukryć zdziwienia.

- Nie dawały sobie z nim rady. Robi, co chce.

- Nie zgadzam się. Każdy tydzień rehabilitacji kosztuje tysiące funtów.

- Dorosłemu mężczyźnie nie mówi się, co ma robić - pouczył ją Pano.

- Owszem, mówi. Jeśli działa na własną szkodę.

Pano nic już nie odpowiedział. Elizabeth zerknęła na wysoki zegar w bibliotece - była już za pięć pierwsza - odwróciła się i skierowała prosto do sypialni Kristiana.

To, co zobaczyła na stoliku nocnym, wyjaśniło wszystko.

Połknął tabletki nasenne. Nie wiedziała, ile i kiedy je zażył, lecz wieczorem fiołki nie było. Podejrzewała, że ktoś, najprawdopodobniej Pano, dostarcza mu leki.

- Panie Koumantaros - odezwała się, żeby go obudzić - czas wstawać... - Żadnej reakcji. - Panie Koumantaros... - Żadnej reakcji. Podeszła bliżej, nachyliła się i już głośniej powiedziała: - Panie Koumantaros, jest pierwsza. Nie może pan spać cały dzień. - Kristian nie drgnął. Elizabeth odchrząknęła i krzyknęła: - Kristian! Wstawaj!

Kristian słyszał ją, nie mógł nie słyszeć, mówiła jak przez megafon. Ale nie chciał się budzić.

Chciał spać.

Sen oznaczał spokój.

Niestety głos stawał się coraz donośniejszy, a na dodatek ta jędza zaczęła ściągać z niego kołdrę!

- Proszę odejść - warknął.

- Minęło południe. Czas wstawać. Za niecałą godzinę rozpoczyna pan gimnastykę rehabilitacyjną.

I wówczas sobie przypomniał. To nie była zwykła pielęgniarka, ale siostra numer siedem. Elizabeth Hatchet, przysłana, żeby go dręczyć.

Przekręcił się na brzuch i burknął:

- Nie wolno mnie budzić.
- Przeciwnie. Minęło południe, a pan nie może przespać całego dnia.
- Dlaczego? Całą noc się męczyłem, nie mogąc zasnąć.
- Niedługo zaczyna pan pierwszy cykl ćwiczeń.
- Pani chyba oszalała.
- Nie oszalałam. Po prostu mam zamiar wdrożyć pana z powrotem w rytm rehabilitacji.
- Nie!

Elizabeth nie spierała się. Nie było po co. Tak czy siak, zaczniesz ćwiczyć, bratku, pomyślała.

- Pano już niesie śniadanie. Powiedziałam, że może pan jeść w jadalni, jak każdy cywilizowany człowiek, ale uparł się podać śniadanie do łóżka.

- Pocziwiec - mruknął Kristian pod nosem. Elizabeth powstrzymała się od komentarza.

- Ale to już ostatni raz. Nie jest pan ani inwalidą, ani księciem. Może pan usiąść do stołu, jak każdy. - Przysunęła wózek do łóżka i ciągnęła: - Wózek stoi obok, gdyby pan chciał z niego skorzystać. Zaraz wrócę, przyniosę tylko parę drobiazgów.

Z tymi słowami udała się do łazienki, po drodze zgarniając ze stolika fiolkę z tabletkami nasennymi. W łazience szybko przepatrzyła szuflady i szafki. Znalazła jeszcze dwa opakowania, które również skonfiskowała.

- Co pani robi? - spytał Kristian zaintrygowany odgłosami wysuwania i zasuwania szuflad w komodzie.

- Szukam pozostałych zapasów.

- Jakich zapasów?

- Doskonale pan wie jakich.

- Gdybym wiedział, nie pytałbym.

W głębi górnej szuflady, za paskami do spodni, Elizabeth natrafiła na jeszcze jedno opakowanie środków nasennych.

- Ile tabletek tego świństwa pan zażywa? - spytała.

- Bardzo mało...

- Mógłby pan otworzyć aptekę. Po co panu taki zapas?

Kristian w milczeniu wsłuchiwał się w odgłosy rewizji. Szukała w fotelu, zajrzała do szufladki w stoliku nocnym i pod materac.

- I co teraz? - spytał po chwili.

- Skończyłam - odpowiedziała i wyszła do ogrodu z basenem i fontanną.

- One są moje! - wrzasnął za nią.

- Już nie! - odkrzyknęła.

- Bez nich nie mogę zasnąć!

- Mógłby pan, gdyby nie unikał pan ćwiczeń i świeżego powietrza.

Usłyszała, jak za jej plecami Kristian przesiada się z łóżka na wózek.

- *Parakalo* - zawołał. - Proszę zaczekać. Przystanęła na moment. Po raz pierwszy użył słowa „proszę”. Obejrzała się. Kristian z trudem pchał wózek w jej stronę.

- Zaczekam, ale nie oddam panu tych leków - oświadczyła. - To trucizna. Szkodzą panu. - Kristian już się prawie z nią zrównał. Włosy miał potargane, twarz bladą, a blizna przypominała malunek na twarzy starożytnego wojownika. - Odpowiadam za wszystko, co pan zażywa - ciągnęła, starając się zapanować nad przyspieszonym biciem serca - i za wszystko, co pan robi - oświadczyła i wsypała zawartość fiolek do fontanny.

Odgłos tabletek spadających do wody dobiegł uszu Kristiana.

- Zrobiła to pani.

- Zrobiłam. Ściągnął gniewnie brwi.

- Chce pani wojny, to będzie ją pani miała - zadeklarował.

Kąciki jego warg uniosły się w nieprzyjemnym uśmiechu. -

Wypowiadam wojnę pani firmie i pani osobiście. - Zniżył głos i dokończył: - Pożałuje pani, że w ogóle tu przyjechała.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Elizabeth serce zabiło mocniej. Tak mocno, że myślała, iż rozsadzi jej pierś.

To była groźba. Groźba, która miała ją rzucić na kolana.

Przez moment nie wiedziała, co myśleć, co zrobić, była sparaliżowana strachem, lecz już po chwili się opanowała. Nie pozwoli, żeby jakiś mężczyzna, nawet taki jak Kristian, coś na niej wymusił. Nie jest zahukaną szarą myszką. Pochodzi z rodziny równie wpływowej, co Kristian Koumantaros, chociaż nie lubi się tym chwalić, w ogóle nie chce, żeby ktokolwiek o tym wiedział.

- Mam się pana bać? - odparowała, chowając buteleczki po lekarstwach do kieszeni. - Zdaje sobie pan sprawę z tego, że nie jest pan zbyt groźnym przeciwnikiem? - Zmobilizowała całą odwagę i ciągnęła: - Nie może pan chodzić, widzieć, we wszystkim jest pan zależny od innych. Więc dlaczego miałabym się pana bać? Co mi pan zrobi? Obrzuci wyzwiskami?

Kristian odchylił się na oparcie fotela.

- Nie wiem, czy mam podziwiać siłę pani charakteru, czy litować się nad pani naiwnością - rzekł.

Trudny początek dnia, pomyślała Elizabeth.

I jest coraz gorzej. Gdyby Kristian spożytkował na rehabilitację chociaż część tej energii, jaką marnuje na walkę z kolejnymi pielęgniarzkami, już by chodził o własnych siłach.

- Litować się? - zadrwiła. - Nie warto. To pan od roku nie pracuje. To pan wyręcza się innymi w zarządzaniu firmą.

- Czy nie na zbyt wiele sobie pani pozwala...

- Prawda w oczy kole. Gdyby chociaż w połowie był pan takim człowiekiem, jak opisują pana przyjaciele, nie chowałby się pan na odludziu i nie lizałby wciąż ran.

- Ja liżę rany?

- Wiem, że tamtego dnia we Francji zginęło osiem osób, i wiem, że jedną z nich był pański brat. Wiem, że usiłował go pan ratować i wówczas uległ pan temu strasznemu wypadkowi. Ale zabijając siebie, nie przywróci mu pan życia... - Kristian chwycił ją za przegub i nie pozwolił dokończyć. Wyrwała rękę. - Proszę mnie nie dotykać. W stosunkach pacjent - pielęgniarka obowiązują ścisłe reguły. Kontakty fizyczne są zabronione.

Roześmiał się, jak gdyby usłyszał dobry dowcip.

- Calista chyba nie przyjęła tego punktu regulaminu do wiadomości.

- To nie punkt regulaminu, a kodeksu etyki zawodowej. Każda pielęgniarka wie, że istnieje granica, której nie wolno przekroczyć. Po jednej stronie białe, po drugiej czarne. Żadnej szarej strefy pomiędzy.

- Trzeba było to wyjaśnić Caliście. Błagała, żebym się z nią przespał. Ale potem zażądała pieniędzy. Bardzo żenujące dla pacjenta, zapewniam panią.

Mimo upału Elizabeth oblała się zimnym potem.

- Nie rozumiem? Żądała pieniędzy?

- Chyba w Wielkiej Brytanii pojęcie szantażu nie jest nieznanne?

- Usiłuje pan zrzucić z siebie winę i odpowiedzialność - odparła, oglądając się na boki.

Starła się nie wpadać w panikę, lecz jeśli Calista rzeczywiście szantażowała Kristiana, jednego z najbardziej prominentnych Greków, to... Wolą nawet nie myśleć o konsekwencjach.

Kristian oparł dłonie na kołach wózka i przybrał nieprzenikniony wyraz twarzy.

- Może jako osoba bardzo młoda nie zdawała sobie sprawy z tego, że odpowiedzialność spada na agencję, która ją zatrudniła? - Nogi ugięły się pod Elizabeth. W ciągu ostatniego roku borykała się z wieloma trudnościami, ale czegoś takiego nie oczekiwała. Ze strachu głosu z siebie wydobyć nie mogła. - Zabawiłem się w detektywa - ciągnął Kristian.

- Calista odeszła miesiąc temu - wyszeptała Elizabeth. - Dlaczego nie zwrócił się pan do mnie od razu? Dlaczego pan zwlekał?

- Po postanowiłem poczekać i zobaczyć, czy poziom usług się poprawi - odparł.

- Poziom usług! Przecież rzucał pan kłody pod nogi każdej...

- Mam trzydzieści sześć lat, zwiedziłem cały świat, kieruję międzynarodową korporacją i nie przywykłem zależeć od kogokolwiek, szczególnie kobiet młodszych od siebie. Poza tym niedawno straciłem brata, kuzyna i sześcioro przyjaciół... - Głos mu zadrzał z emocji. - To wielkie obciążenie psychiczne - dokończył.

- Właśnie dlatego próbowaliśmy panu pomóc.

- Przysyłając dwudziestotrzyletnią sikse, była tancerkę egzotyczną?

- Nieprawda!

- Prawda. Poza tym pozowała topless do zdjęć w kolorowych magazynach. Chwaliła się, że mężczyźni uwielbiają jej piersi. Są naturalne. Niestety ich nie widziałem.

Elizabeth aż się trzęsła ze zdenerwowania. Jeśli to wszystko była prawda...

- Panie Koumantaros... - zaczęła błagalnym tonem.

- Twierdzi pani, że osobiście rekrutuje kandydatki, sprawdza ich dossier, a potem sama je szkoli - Kristian był bezlitosny.

- Z początku tak było. Osobiście zajmowałam się wszystkim. I nadal to ja przeprowadzam rozmowy wstępne z kandydatkami z terenu Zjednoczonego Królestwa.

- Ale osobiście nie prześwietla pani ich przeszłości, prawda? Zdenerwowanie Elizabeth jeszcze się pogłębiło.

- Nie - przyznała.

Kristian namyślał się chwilę, zanim rzucił kolejne oskarżenie.

- W broszurze reklamującej pani agencję jest napisane coś przeciwnego.

Elizabeth przygryzła wargę. Czowała się osaczona, przyparta do muru.

- W ciągu ostatniego roku agencja bardzo się rozwinęła - wybąkała. - Liczba zatrudnionych się podwoiła. Pracowałam na pełnych obrotach, ale...

- Zawsze się znajdzie jakaś wymówka.
- Mam filie w siedmiu miastach, również w Atenach.

Zatrudniam setki kobiet w całej Europie. Ręczę za prawie każdą z nich.

- Prawie? - zadrwił. - Małe słówko, a jaka różnica.
- Obiecuję uaktualnić informacje w naszych materiałach.

Kąciki warg Kristiana uniosły się powoli.

- Z pewnością, z pewnością. Ale wpieryw zajmie się pani moją rehabilitacją, której tak pilnie potrzebuję, i na którą - zrobił efektowną pauzę - zasługuję - dokończył.

- Czy to znaczy, że będzie pan ze mną współpracował i że dzisiaj przystąpimy do ćwiczeń? - spytała nieswoim głosem.

- Nie, to znaczy, że pani będzie współpracowała ze mną - oświadczył i ruszył z wózkiem w jej stronę. - Skoro minęła pierwsza, lunch podadzą za godzinę. Wówczas przedyskutujemy mój plan terapii.

Przez następną godzinę Elizabeth z największym trudem dochodziła do siebie.

Na własny koszt sprowadziła Calistę do Londynu na ostatnią rozmowę. Dziewczyna od razu zrobiła na niej wrażenie ciepłej, energicznej, oddanej pracy. Wykwalifikowanej. Nie, to niemożliwe, żeby w przeszłości była tancerką egzotyczną, albo modelką pozującą do rozbieranych zdjęć. Niemożliwe i już!

Ponadto w głowie by jej nie powstało, żeby uwodzić kogoś takiego jak Kristian Koumantaros. Jest skromną dziewczyną z

Pireusu, wychowaną przez dziadków i niezameżną ciotkę. Ma wpojone tradycyjne zasady.

I nie ma pieniędzy.

Elizabeth przymknęła powieki, potrząsnęła głową. Nie, nie mogła uwierzyć w najgorsze.

To nie wierz, postanowiła. Dostrzegaj w ludziach to, co najlepsze. Zawsze.

Lecz kiedy szła do swojego pokoju, jakiś podstępny głos szeptał jej do ucha:

To nie dlatego poślubiłaś Nica? Bo miałaś na oczach łuski? Bo widziałaś w nim tylko to, co najlepsze?

Trzy kwadranse później wróciła na taras. Kristian już na nią czekał, delektując się kawą. Na dźwięk jej kroków podniósł głowę.

Elizabeth aż dech w piersi zaparło.

Ogolił się, uczesał, a błękit jego niewidzących oczu był niezwykle intensywny. Przez jedno mgnienie poczuła podobne zauroczenie, jakiego musiała doznać Calista, kiedy ujrzała swojego podopiecznego. Nie poddała mu się jednak.

- Ogarnął się pan - zauważyła, siadając.

- Golenie zawsze człowiekowi dobrze robi.

To nie chodzi tylko o golenie, pomyślała Elizabeth. Twarz Kristiana się ożywiła, był bardziej zmobilizowany, otwarty na kontakt ze światem zewnętrznym.

- Bardzo mi przykro, że trudno nam się porozumieć - zaczęła pojednawczym tonem. - Proszę mi wierzyć, dołożę wszelkich starań, żeby...

- Wiem - przerwał jej.

- Tak?

- Boi się pani, że zrujnuję pani firmę. I wcale nie byłoby to trudne - dodał. - Wystarczyłby miesiąc.

- Proszę posłuchać, panie...

- Skoro mamy ze sobą tak blisko współpracować, czy nie lepiej, żebyśmy przeszli na ty? - zaproponował zniechęcony.

Elizabeth spojrzała na niego nieufnie. W tej chwili przypominał dzikie zwierzę, niebezpieczne i nieprzewidywalne.

- Zgoda - odpowiedziała, trochę wbrew sobie. - A propos współpracy - ciągnęła - dałeś mi wcześniej do zrozumienia, że chcesz sam ułożyć program rehabilitacji.

- Owszem. Jesteś tutaj tylko po to, żeby mi pomóc osiągnąć mój cel.

- Więc co mam robić?

- Wszystko, co konieczne.

- A dokładniej?

- To ja będę o wszystkim decydował. Sam powiem, o której zaczynamy, o której kończymy i co robimy w międzyczasie.

- Co z gimnastyką? Rozciąganie, wzmacnianie...

- Sam się tym zajmę.

Chce sam ułożyć plan ćwiczeń? Sam nim kierować?

Aż jej się w głowie zakreśliło. To jakiś absurd.

- Może znasz się na biznesie, ale na fizykoterapii...

- Posłuchaj. Nie chodziłem, bo nie chciałem. Po prostu.

- Po prostu?

- Tak.

Boże, ale z niego bufon!

- A teraz chcesz?

- Tak. - Elizabeth odchyliła się na oparcie krzesła i przyjrzała się Kristianowi uważnie. Była świadkiem metamorfozy. - To ty mi powiedziałaś, że muszę robić postępy - tłumaczył. - I miałaś absolutną rację. Najwyższy czas stanąć na nogach.

Tymczasem przyniesiono lunch. Pano i gospodyni ustawili na stole mezedes - najrozmaitsze apetycznie pachnące zimne i gorące przekąski - cierpliwie wyjaśniając Kristianowi, co jest co i gdzie się znajduje. Elizabeth uwielbiała grecką kuchnię, chociaż teraz wątpiła, czy zdoła cokolwiek przełknąć.

- I kiedy zamierzasz zacząć?

- Dzisiaj. Zaraz po lunchu. - Kiedy Pano z gospodynią oddalili się, Kristian oświadczył: - Chcę jak najszybciej zacząć chodzić. Daję sobie tydzień, a za miesiąc wybieram się do Aten.

- Za tydzień? Chodzić?! - wykrzyknęła Elizabeth.

Nie wierzyła własnym uszom ani oczom. Kristian z każdą chwilą stawał się wyższy, silniejszy, potężniejszy.

- Tak. Za tydzień.

- Posłuchaj. To dobrze mieć przed sobą cel, do którego się dąży, ale, błagam, myśl realistycznie. Może za kilka tygodni będziesz mógł się poruszać z balkonikiem...

- Jeśli pojedę do Aten, to mowy nie ma o żadnym balkoniku.

- Ale...

- To kwestia kultury i szacunku. Nie jesteś Greczynką, nie rozumiesz...

- Przeciwnie. Doskonale rozumiem. I dlatego tutaj jestem. Daj sobie czas na osiągnięcie celów. Dwa, trzy miesiące to bardziej realistyczny termin.

Kristian gwałtownie odsunął się z fotelem i wykrzyknął:

- Dosyć! - Postawił jedną stopę na ziemi, dołączył drugą, potem pochylił się do przodu, oparł dłońmi o blat stołu. Na moment zastygł w tej pozycji, ale po chwili, bardzo powoli, stopniowo, zaczął się podnosić. Twarz mu zbladła, krople potu wystąpiły na czoło, lecz on się nie poddawał, podciągał się w górę, aż stanął wyprostowany.

Gestem tryumfu odrzucił głowę do tyłu i spytał: - Widzisz?

Udowodnił jej, że nie ma racji.

Widziała, ile wysiłku, ile bólu kosztuje go utrzymanie się w tej pozycji, lecz nie wydał z siebie najmniejszego jęku.

Elizabeth przyglądała mu się z podziwem. Zaimponował jej.

- To dopiero początek - rzekła. - Jestem pod wrażeniem, ale zdajesz sobie sprawę z tego, że dalej będzie jeszcze trudniej?

Kristian drgnął, oderwał jedną rękę od blatu stołu.

- W porządku - oświadczył. - Jestem na to przygotowany. -
Sięgnął ręką do tyłu, do wózka. Zachwiał się niebezpiecznie.
Elizabeth podskoczyła, żeby go przytrzymać, skądś nadbiegł też Pano,
który czekał dyskretnie schowany w cieniu. Kristian
zniecierpliwionym gestem kazał im się odsunąć. - *Ohi!* - warknął. -
Nie.

- *Kyrios* - prosił Pano, nie mogąc spokojnie na to patrzeć.

Kristian zgromił go po grecku.

- Ja sam - upierał się. - Muszę...

Pano wycofał się niechętnie, Elizabeth z powrotem zajęła swoje
miejsce. Targały nią sprzeczne uczucia, podziw i złość. Podziwiała
samozaparcie Kristiana, lecz wiedziała również, że jeśli tak sobie
wyobraża terapię, szybko jego siły fizyczne i psychiczne się
wyczerpią i wszystko może się źle skończyć. Terapia musi być
opracowana z naukową precyzją!

Kristian jednak miał na ten temat inne zdanie, które wyłożył jej
zaraz po lunchu. Stanie, chodzenie, to po prostu tryumf woli,
zwycięstwo ducha nad materią. Jej rola nie polega na przeszkadzaniu
mu, mówieniu, co mu wolno, a czego nie, udzielaniu rad. Jej rolą jest
asystowanie mu, bycie pod ręką, gdyby czegoś potrzebował. To
wszystko.

- Mam być służącą? - oburzyła się. - Z moimi kwalifikacjami?
Do tego możesz sobie wynająć każdego, wyjdzie taniej.

- Wiem - odparł. - Twoja agencja wystawiła mi niebotyczny
rachunek za nic.

- Odmawiałeś współpracy.
- Bo wasze metody są nieskuteczne.
- Muszę zaprotestować.
- Proszę bardzo. Protestuj, ale to nie zmienia faktu, że pod waszą opieką nie zrobiłem żadnych postępów, a na dodatek również byłem molestowany seksualnie i szantażowany. Wpierw wycisnęliście ze mnie tysiące euro, potem zjawiałaś się ty, nieproszona, niechciana...

Elizabeth wstała, dotknięta do żywego.

- W takim razie wyjadę - oświadczyła zrozpaczona. -
Zapomnijmy o tym. Uznajmy, że mnie tu nie było...

- Jak to? - zaprotestował. - Co powiedzą specjaliści, którzy podobno nalegali na twój przyjazd, bo inaczej umieszczą mnie w zakładzie w Atenach? A może to było kolejne kłamstwo?

- Kłamstwo?
- Wiem, dlaczego tu jesteś...
- Żeby ci pomóc wyzdrowieć!
- Masz dokładnie dziesięć sekund, żeby powiedzieć mi nazwisko osoby, która cię wynajęła. W przeciwnym razie przystąpię do akcji przeciwko twojej agencji.

- Posłuchaj...
- Dziewięć.
- Kris...
- Osiem.
- Przyrzekłam...
- Siedem.

- Umowa między mną...

- Sześć.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Ona cię kocha. Jesteś dla niej naj...

- Cztery.

- Chce, żebyś wrócił do Aten.

- Dwa.

Elizabeth zacisnęła dłonie w pięść.

- Błagam...

- Jeden.

Przyłożyła pięść do piersi, jak gdyby chciała zatrzymać kołatanie serca.

- Cosima. To Cosima mnie wynajęła. Jest w rozpacz. Chce, żebyś wrócił do domu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Cosima?

Była narzeczona Andreasa, ozdoba ateńskiej śmietanki towarzyskiej i dziewczyna wiecznie tonąca w długach.

- Cosima cię wynajęła? - spytał Kristian, sądząc, że się przesłyszał. - To ona skontaktowała się z tobą w Londynie?

- Tak. I przyrzekłam na wszystkie świętości, że ci nie powiem.

- Dlaczego?

- Twierdziła, że byłbyś niezadowolony, że jesteś zbyt dumny, żeby... - Elizabeth urwała, głos odmówił jej posłuszeństwa.

Opanowała się jednak i dokończyła: - Twierdziła, że musi coś zrobić, żeby ci pokazać, jak bardzo w ciebie wierzy. - Cosima we mnie wierzy, dziwił się w duchu. A może rzecz polega na tym, że ma wobec mnie dług wdzięczności? Może dręczą ją wyrzuty sumienia tak samo jak mnie? Przecież Andreas zginął, a ona żyje. Dzięki mnie. Bo to ja podjąłem decyzję. To ja tamtego dnia zabawiłem się w Boga. Elizabeth, nieświadoma tego, co rozgrywało się w jego sercu przepełnionym wściekłością i nienawiścią, ciągnęła: - Ale skoro nie dotrzymałam słowa, skoro ty już wiesz, umowa została zerwana i nie mogę tu zostać...

- Oczywiście, że możesz - wpadł jej w słowo. - Ona nie musi się dowiedzieć, że ja wiem. Nie ma sensu rujnować jej żalosalnej intrygi. - Elizabeth milczała chwilę, zanim się odezwała: - Proszę, nie gniewaj się na nią. Robi wrażenie niezwykle dobrej osoby. - W tej chwili Kristian dowiedział się o Elizabeth Hatcher czegoś bardzo ważnego, a mianowicie tego, że jest pełna najlepszych intencji, ale kompletnie nie zna się na ludziach.

Cisnęły mu się na usta pytania, czy wie, że Cosima i Calista chodziły razem do szkoły, czy wie, że przez ponad rok wspólnie wynajmowały mieszkanie, czy wie, że razem zostały modelkami. Mógłby jej powiedzieć, że były najlepszymi przyjaciółkami, dopóki los ich nie rozdzielił. Cosima poznała Andreama Koumantarosa i została dziewczyną jednego z najbogatszych mężczyzn w Grecji.

Calście nie udało się znaleźć równie bogatego narzeczonego ani zrobić kariery modelki. Żeby związać koniec z końcem, zaczęła tańczyć i pozować do rozbieranых zdjęć. Aż nagle wydarzyła się tragedia. Cosima przeżyła, lecz musiała zmienić styl życia, a wtedy Calista zobaczyła dla siebie szansę. Nie była pierwszą, która usiłowała go naciągnąć. Podczas jego pobytu w szpitalu z całej Europy zjeżdżały się dawne przyjaciółki, obiecując: „Kocham cię. Jestem tu tylko dla ciebie. Nigdy cię nie opuszczę”. Kłamały. Nie przyjeżdżały dla niego, lecz dla jego pieniędzy. Ogarnęła go irytacja. Czy te baby sądziły, że skoro stracił wzrok, to stracił również i rozum?

- Spotkałyście się osobiście? - spytał beznamiętnym tonem.

- Rozmawialiśmy tylko przez telefon - wyjaśniła Elizabeth - ale jej troska o ciebie bardzo mnie poruszyła. Ta kobieta ma dobre serce - dodała - i karanie jej za to, że próbuje ci pomóc, byłoby niesprawiedliwe.

Kristian potarł dłonią podbródek.

- Oczywiście - przyznał. - Czyli bardzo jej zależy na tym, żebym stanął na własnych nogach, tak?

- Tak. Bardzo się o ciebie martwi. Niemal płakała. Odniosłam wrażenie, że uważa, że jej unikasz...

- Doprawdy?

No, no. Czyżby Cosima coś sobie wyobrażała? Wspólną przyszłość? Omal nie wybuchnął śmiechem.

- Uważa, że żyjesz jak pustelnik.

- Tu jest mój dom.

- Martwi się, że popadasz w depresję.
- Tak się wyraziła?
- Owszem. Mam wszystko zanotowane. Jeśli chcesz...
- Wierzę ci na słowo. - Cała ta sprawa bardzo go zaintrygowała.

Cosima nie należała do sentymentalnych ani specjalnie wrażliwych.

Dlaczego więc tak jej zależy na jego powrocie do Aten?

- Przysłała cię na ratunek, tak?
- Nie na ratunek. Chodzi jej o to, żeby cię zmotywować do działania.

- Dzisiaj stanąłem na własnych nogach, jutro zdobędę Everest! - wykrzyknął i rozpostarł ramiona.

- Może nie od razu Everest, ale o własnych siłach dojdiesz do ołtarza.

Do jakiego ołtarza? O czym ona mówi? No tak, wszystko już jasne. Cosima ubzdurzyła sobie, że się z nią ożeni.

- Nie mówmy jej o tym, że wiem - oświadczył. - Będę ciężko pracował i zrobię jej niespodziankę.

- Okay. Od czego zaczniemy? - Elizabeth spytała entuzjastycznym tonem.

Kristian omal się nie uśmiechnął.

- Już zaangażowałem fizykoterapeutę ze Sparty - wyjaśnił. - Jutro tu będzie.

- A co zamierzasz robić do jutra?
- Odpocznę, zdrzemnę się, potem popływam.
- Możesz pływać? - zdziwiła się.

- Od dwóch tygodni pływam regularnie.

- Czyli odkąd zwolniłeś ostatnią pielęgniarkę, tak? - Kristian nie uznał za stosowne odpowiedzieć. - Pokażesz mi basen? - poprosiła.

- Jasne. Chodźmy.

Kristian sam pchał wózek, Elizabeth szła obok niego. Zjechali z ocienionego tarasu i skierowali się w stronę fontanny.

- Piękny ogród - pochwaliła, a widząc, z jakim trudem jej towarzysz porusza się po żwirze, dodała: - Warto by było ułożyć tu płyty z kamienia.

- Już dawno mi to sugerowano, ale wiedząc, że nie będę wiecznie jeździł na wózku, nie zdecydowałem się na zmianę - odparł.

- Czyli już dawno chciałeś uwolnić się od wózka?

Kristian zwrócił ku niej twarz i gniewnie zmarszczył brwi. Przemknęło jej przez myśl, że jeździ na wózku nie z lenistwa, lecz dlatego, że nie widzi. Tak czuje się po prostu bezpieczniej.

- Daleko jeszcze do żywopłotu? - spytał.

- Nie. Jest tuż przed nami.

- Więc basen znajduje się na lewo.

Elizabeth obejrzała się i niemal natychmiast oślepiło ją słońce odbijające się od błękitnej tafli wody.

- To nowy basen? - spytała, podziwiając młode rośliny i pięknie wykafelkowane brzegi.

- Szkoda, że nie mogę powiedzieć, że to był mój jedyny kaprys - przyznał. - Od blisko dziesięciu lat remontuję ten klasztor. Sprawia mi to ogromną przyjemność.

- Ale dlaczego właśnie Taygetos?

- Kocham góry. Tu czuję się jak w domu. Moja matka była Francuzką, wychowała się w małym miasteczku u podnóża Alp. Od dziecka się wspinałem. Tego akurat nauczył nas ojciec, ale matka zawsze chętnie nam towarzyszyła.

Elizabeth zauważyła, że Kristian cały czas osłania oczy dłonią.

- Razi cię słońce? - spytała.

- Zazwyczaj noszę bandaż albo ciemne okulary.

- Czyli twoje oczy są wrażliwe na światło.

- Sprawia mi ból - przyznał.

Może to oznacza, że kiedyś odzyska wzrok, chociaż w niewielkiej mierze, pomyślała.

- Poproszę Pano, żeby przyniósł ci okulary.

- Nie warto. Nie będziemy tu długo.

- Tu jest tak przyjemnie... Pójdę - zaproponowała. - Będziesz mógł się zrelaksować.

- Nie, nie. Znajdź tylko trochę cienia, gdzie mógłbym się schować.

- Po drugiej stronie, pod skałami jest teraz cień. Pomóc ci? - spytała i nie czekając na odpowiedź, pchnęła wózek.

- Dziękuję. Sam dam radę - zaprotestował Kristian i położył dłonie na obręczach kół.

Wskutek szarpaniny wózek przechylił się do przodu, przednie koła przejechały przez krawędź basenu. Elizabeth była bezsilna.

Kurczowo trzymała rączki, lecz nie zdołała zapobiec katastrofie.
Puściła.

Jej pacjent z głośnym pluskiem wpadł do wody. Razem z wózkiem.

Już chciała skoczyć Kristianowi na ratunek, gdy zobaczyła, jak się wynurza i płynie do krawędzi. Wózek niestety poszedł na dno.

- Kristian! - zawołała. - Przepraszam! Przepraszam! To moja wina... - Wyciągnęła rękę. - Chwyć mnie za rękę, jestem tu... tu przed tobą... Tak, dobrze... Trzymam cię.

- Jesteś tego pewna? Może to ja trzymam ciebie? - zażartował i mocno pociągnął.

Nie mogła wprost w to uwierzyć. Zrobił to specjalnie! A jej się wydawało, że jest taki biedny i bezbronny.

Bezbronny! Trzykrotnie wyprowadził ją w pole.

- To było bardzo złośliwe z twojej strony. Kristian zachichotał.

- Myślałem, że chcesz się orzeźwić.

- Nie chciałam, żebyś wpadł do wody - tłumaczyła. - Wszystko bym zrobiła, żeby zapobiec temu wypadkowi.

- Twoja troska o mnie jest wprost wzruszająca - zadrwił. - Bałem się, że będziesz taka, jak te wszystkie pielęgniarki, ale powiem ci coś. Jesteś gorsza.

- Przepraszam - wybąkała. - Dawno nie opiekowałam się sama żadnym pacjentem. Zajmowałam się biurem i...

- I wyszłaś z wprawy - dokończył za nią.

- Wy tłumacz mi więc, dlaczego nie przysłałaś kolejnej pielęgniarki, tylko przyjechałaś sama?

Elizabeth czuła się całkowicie pokonana. Po drabince wyszła na brzeg, usiadła w mokrym ubraniu na podeście, zaczęła wyciskać wodę z włosów.

- Moja agencja jest na skraju bankructwa. Nie stać mnie było na zaangażowanie kogoś - wyznała.

- Przecież dostałaś pieniądze z mojego ubezpieczenia. Ja też ci płaciłem.

- Ale to nie pokryło wszystkich wydatków.

- Nie chciała mu mówić, że Calista wymagała pomocy psychologa, poza tym zażądała odszkodowania za zerwanie kontraktu. Do tego trzeba było zapłacić jej rachunki. - Trzeba wydobyć twój wózek - zmieniła temat.

- Racja. Przyda mi się. Dobrze pływasz?

- Pływam.

- Nie zabrzmiało to zbyt zachęcająco.

- Nic mi nie będzie.

Nic mi nie będzie, powtórzyła w duchu. Po prostu wstrzymam oddech, zanurkuję, chwycę wózek i wyciągnę na powierzchnię.

- Boisz się - odgadł.

- Nie.

- Nie pływasz najlepiej. Westchnęła.

- Przepłynięcie kilku długości basenu nie stanowi dla mnie problemu, ale... denerwuję się, kiedy muszę zanurkować.

- Klaustrofobia?

- Wiem, że to głupie, ale... - Urwała.

Nie chciała mu się zwierzać. Nie chciała, żeby się z niej naśmiewał.

- Ale co?

- Miałam wypadek. Byłam wtedy małym dzieckiem. - Kristian milczał. Czekał na dalszy ciąg.

- Bawiłam się z koleżanką w basenie. Rzucaliśmy monety i nurkowaaliśmy po nie. I... W tym hotelowym basenie, na dnie, była taka dziura, odpływ, i tak się jakoś stało, że... - zawahała się. Na samo wspomnienie tamtej chwili ogarniała ją panika. - Nagle wciągnęło troczki mojego kostiumu. Nie mogłam ich wydobyć, siła ssania była zbyt mocna, kostiumu zdjąć też nie mogłam. - Kristian wciąż się nie odzywał. - Oczywiście wyciągnięto mnie. Inaczej by mnie tutaj nie było - dodała i zaśmiała się sztucznie. - Bałam się - dokończyła.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Sześć.

- Musiałaś dobrze pływać, skoro bawiłaś się w wyławianie monet.

Elizabeth roześmiała się.

- Byłam niesfornym dzieckiem. Moja niania... - urwała i zmieniła temat. - Po tym wypadku już nie chciałam pływać. Szczególnie unikałam dużych basenów. I zawsze wolałam trzymać się płytszego końca.

Czuła na sobie baczne spojrzenie Kristiana.

- Zaproponuję ci układ - odezwał się. Zmrużyła powieki. Jego dotychczasowe propozycje były dla niej mało przyjemne.

- Jaki?

- Sam wydobędę wózek, ale nie będziesz patrzyła, jak się rozbieram. Nie mogę nurkować w ubraniu.

- Boisz się, że zobaczę cię nagiego jak cię Pan Bóg stworzył?

- Staram się cię chronić. Jesteś pielęgniarzką z niewielkim doświadczeniem. Moja nagość mogłaby zrobić na tobie zbyt wielkie wrażenie.

- W porządku.

- Co w porządku? Chcesz powiedzieć, że skromnie odwrócisz wzrok, czy że nie boisz się patrzeć?

- Skromnie odwrócę wzrok.

- *Endaxi*. Okay.

Chociaż obiecała nie patrzeć, pokusa była zbyt wielka. Mimo blizn Kristian miał zdumiewająco piękne ciało, mocną klatkę piersiową, długie, kształtne nogi.

Zanurkował. Zauważyła, że nie widząc, kieruje się we właściwym kierunku. Chwilę szuka ręką fotela, potem chwyta go i natychmiast zaczyna się wynurzać.

Niewiarygodne.

Tymczasem od strony domu nadbiegł Pano z jedną z pokojówek niosącą naręczę ręczników.

- *Kyrios!* - wykrzyknął stary lokaj. - Nic się panu nie stało?

- Nic - uspokoił go Kristian i wyciągnął wózek na brzeg.

Pano go od niego odebrał i przekazał pokojówce, która natychmiast zabrała się do wycierania.

Kristian natomiast podciągnął się na rękach i położył na brzuchu na brzegu basenu. Jest o wiele silniejszy, niż chce pokazać, i o wiele bardziej samodzielny, doszła do wniosku Elizabeth.

Nie potrzebuje nikogo, żeby popychał go na wózku.

Prawdopodobnie nie potrzebuje nikogo, żeby się nim opiekował.

Gdyby wszyscy przestali się nad nim trząść, wkrótce stanąłby na własnych nogach.

Elizabeth oczu nie mogła od niego oderwać. Był idealnie proporcjonalnie zbudowany, pięknie umięśniony. Nie wyglądał na chorego ani na rekonwalescenta. Wyglądał jak mężczyzna w pełni sił, wysportowany, zmysłowy, pełen temperamentu.

Kristian usiadł i zanim Pano zdążył okryć go ręcznikami, Elizabeth zdążyła zobaczyć jego tors, brzuch i...

Oblała się rumieńcem. Naprawdę nie powinna mu się przyglądać. Zachowywała się bardzo, ale to bardzo nieprofesjonalnie.

- Pójdę się przebrać - odezwała się.

- Dobry pomysł - skomentował Kristian i uśmiechnął się kątem ust, dając jej do zrozumienia, że wie, iż złamała układ i nie odwróciła wzroku. - Do zobaczenia przy kolacji - dodał.

Chce zjeść ze mną kolację. No, no.

- Dzisiaj?

- Myślałem, że wszystkie posiłki mamy jeść razem - odparł. -

Twoim zadaniem jest dotrzymanie mi towarzystwa.

- To prawda - bąknęła. - Czyli do kolacji. Odwróciła się na pięcie i umknęła do swojego pokoju.

Nie angażuj się, pouczała się po drodze. Obojętnie, co się stanie, nie angażuj się, nie angażuj...

Lecz wspinając się na schody wieży, rozpinając mokre ubranie, chciała krzyknąć ze złości.

Było za późno. Już się zaangażowała.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kristian wracał do domu wściekły. Wypadek na basenie uświadomił mu jego bezradność spowodowaną ślepotą.

Po chwili refleksji doszedł jednak do wniosku, że incydent miał też swoje niespodziewane pozytywne skutki. Po pierwsze, Elizabeth zrzuciła z siebie sztywny gorset i pokazała łagodniejsze oblicze. Jej lęk przed zanurkowaniem przypomniawszy mu własne doświadczenie z dzieciństwa. Po ciężkim upadku z konia na wiele lat zrezygnował z uprawiania tego sportu. Po drugie, kiedy znowu posadzono go na wózku, doszedł do wniosku, że ma go serdecznie dość. Że tęskni za swobodą poruszania się, że po raz pierwszy od katastrofy jest naprawdę gotowy poddać się rehabilitacji, która przywróci mu sprawność i pozwoli znowu chodzić i biegać.

- Jak to się stało, że wpadł pan do wody? - spytał Pano, który szedł tuż za wózkiem.

- Panna Hatchet chciała mnie zaprowadzić w cień i źle oceniła odległość dzielącą nas od krawędzi.

- Pielęgniarka wepchnęła pana do basenu?! - wykrzyknął oburzony Pano.

- To był wypadek.

- Wiedziałem, że się nie nadaje - mruknął lokaj pod nosem. - Wiedziałem, że to nie jest prawdziwa pielęgniarka.

- Dlaczego?

- Gdyby pan mógł ją zobaczyć...

- Ale nie mogę, więc ty mi powiedz, jak ona wygląda. Jest za stara, zbyt otyła?

- Wcale nie jest stara ani otyła. Przeciwnie. To drobna, delikatna blondynka. Sprawia wrażenie ptaszka w klatce. A tu potrzeba kobiety silnej...

Aha. Więc blondynka, na dodatek szczupła i atrakcyjna.

A założyłyby się, że ma ciemne włosy.

Same niespodzianki.

Weźmy głos - dźwięczny, melodyjny. Zapach - nie kwiatowy, nie egzotyczny, ale świeży, z nutą trawy cytrynowej albo melona. Wczorajszej nocy, kiedy się nad nim pochylała, ze zdumieniem stwierdził, że nie związuje włosów.

Wszystko przemawia za tym, że nie jest żadną heterą, za jaką ją miałem, pomyślał Kristian.

Próbował ją sobie teraz na nowo wyobrazić, wzrost, wiek, odcień włosów. Srebrzysty czy złoty z pasemkami?

Ale właściwie nie jej wygląd intrygował go najbardziej, lecz historia, jaką mu opowiedziała. Obraz sześciolatki złapanej w pułapkę na dnie basenu przemawiał do wyobraźni.

Po kilku godzinach spędzonych na odpoczynku w swojej sypialni - drzemka, lektura - Elizabeth przebierała się do kolacji i zastanawiała, co właściwie tu robi i na czym ma polegać jej rola.

Kristian nie potrzebował pielęgniarki, na pewno nie potrzebował dwudziestoczworgodzinnej fachowej opieki, jaką jej agencja oferowała.

Czy może więc zostać? Czy może brać od Cosimy pieniądze? Kristian nawet nie pozwalał jej wykonywać żadnych obowiązków przewidzianych w kontrakcie. Chciał panować nad sytuacją. W porządku, proszę bardzo, pod warunkiem że ma odpowiednią motywację. Właściwie wystarczyłby mu trener i terapeuta zajęciowy, który nauczyłby go radzić sobie ze ślepotą. Pielęgniarka znająca się na pielęgnowaniu leżących pacjentów nie ma tu nic do roboty.

Na dodatek Elizabeth w ogóle nie wiedziała, jak się ubrać.

Kolejno wyciągała z szafy rozmaite stroje i kolejno je odrzucała. Granatowa solejka - będą wyglądała jak uczennica. Prosta brązowa spódnica - zupełnie bez polotu. Szara spódnica wykończona fioletową obwódką - zbyt poważna i praktyczna.

Czy właśnie nie taka mam być, zastanawiała się. Poważna, rzeczowa, praktyczna?

Nie przyjechałaś na wakacje, upomniała się, sięgając po szarą spódnicę i grafitową bluzkę. A tak w ogóle, to dlaczego zależy ci na tym, żeby ładnie wyglądać?

No właśnie. Zachowuję się, jak gdybym stroiła się na randkę, a nie szykowała na kolację z pacjentem.

Kristian jest twoim pacjentem. Nie zapominaj o tym.

Szybko przeciągnęła szczotką po włosach.

Bliższa znajomość z Kristianem nie wchodziła w rachubę, nawet gdyby nie był pacjentem. Już raz była żoną Greka i to małżeństwo od samego początku było klęską. Trwało dwa lata, a rany leczyła przez siedem.

Cofnęła się pamięcią o dziesięć lat. Jako dwudziestojednoletnia dziewczyna z Nowego Jorku została okrzyknięta przyszłą miss Ameryki.

Była taka młoda i niedoświadczona. Wierzyła we wszystko, co jej mówiono. Dopiero później pojęła, że ludzi przyciągało do niej tylko nazwisko i majątek.

- Żadnych więcej greckich potentatów - szepnęła do siebie. - Żadnych facetów, którzy interesują się mną nie z tych powodów, co trzeba.

Będzie wobec Kristiana uprzejma, będzie go wspierać w jego wysiłkach i zawsze spieszyć z pomocą, ale nic ponadto.

Z tym postanowieniem zeszła na dół.

Kristian zjawił się w bibliotece chwilę po niej. Miał na sobie ciemne spodnie i białą lnianą koszulę. Przy gładko zaczesanych z

czoła czarnych włosach jego błękitne oczy wydawały się jeszcze intensywniej niebieskie.

Obserwując, jak pcha swój wózek, zauważyła, że nie wygląda na zadowolonego.

- Czy coś się stało? - zagadnęła. - Coś jest nie tak?

Kristian skrzywił się.

- Chciałbym jak najszybciej uwolnić się od tego wózka - wyznał.

- Cierpliwości. To trochę potrwa. Chociaż założę się, że próbowałeś.

- Pomyślałem, że skoro potrafię sam stanąć, potrafię też zrobić kilka kroków.

- Oczywiście - zapewniła go. - I z twoją determinacją dokonasz tego szybciej, niż myślisz.

W tej samej chwili Pano zawiadomił ich, że kolacja czeka. Przenieśli się więc do jadalni z sufitem ozdobionym freskami przedstawiającymi sceny ze Starego Testamentu. W kilku miejscach tynk był uszkodzony i widać było belki stropu.

Podłogę przykrywał czerwony dywan, a pośrodku stał stół nakryty na dwie osoby. Na stole i w uchwytych na ścianach paliły się grube świece. Zastawa stołowa była w kolorze kobaltu.

- Jak tu pięknie - zachwyciła się Elizabeth. - Sklepienie jest oryginalne, prawda?

- Tak. Udało mi się je zabezpieczyć.

- Budynek jest bardzo stary?

- Wieżę datuje się na początek osiemnastego wieku. Główny budynek klasztorny oddano do użytku w 1802 roku. Chociaż nie mogę tego zobaczyć - dodał ciszej - czuję ten specyficzny klimat: kamienne ściany, łukowate sklepienia, drewniane stropy.

- To dobrze - odpowiedziała ze ściśniętym sercem.

Teraz rozumiała, dlaczego kochał ten klasztor.

Z drugiej strony jednak nie może żyć w odosobnieniu. Potrzebny mu jest kontakt ze światem zewnętrznym.

Podano do stołu. Pano stanął przy krześle Kristiana, w każdej chwili gotowy mu pomóc, lecz Kristian go odprawił.

Zwracając się do Elizabeth, spytał:

- Kieliszek wina chyba mi nie zaszkodzi?

- Ale tylko jeden - zastrzegła.

Kristian podniósł butelkę, odnalazł jej kieliszek, wolno, cały czas nasłuchując, zaczął nalewać czerwone wino.

- I jak? Nie za dużo? Nie za mało?

- W sam raz - zapewniła go.

Wówczas napełnił swój kieliszek. Podczas jedzenia zabawiał ją rozmową, wypytywał o podróże, o to, skąd zna grecki.

- W pewnym okresie życia mieszkałam w Grecji - odpowiedziała wymijająco.

- Jako studentka, a może to były wakacje?

- Wszyscy kochają Grecję - zrobiła kolejny unik.

- A ty za co szczególnie ją kochasz? - Elizabeth natychmiast przyszyły do głowy rozmaite odpowiedzi: woda, plaże, kuchnia, ludzie,

klimat. Lecz dla niej Grecja również oznaczała ból. Podczas rozwodu wielu ludzi się od niej odwróciło. Przyjaciele, bliscy przyjaciele, z dnia na dzień przestali się z nią kontaktować. Łzy napłynęły jej do oczu, głos odmówił posłuszeństwa. - Nie potrafisz odpowiedzieć?

- Kocham wszystko - zapewniła go i spytała:

- A ty? Co najbardziej kochasz w swoim kraju?

- Ludzi - odpowiedział i uniósł kieliszek.

- I ich radość życia.

Stuknęli się kieliszkami. Wino było wyśmienite.

- Co to za wino? - spytała.

- Pochodzi z jednej z moich ulubionych lokalnych winnic.

Wyrabia się je z odmiany *ayroyitiko* uprawianej na Peloponezie - wyjaśnił. - Wolisz białe wina?

- Niespecjalnie. Ale miałam znajomych, którzy wyżej cenili białe greckie wina od czerwonych.

- Znajomych? - Wyraz twarzy Kristiana zmienił się, stał się bardziej uważny. - A może jednego znajomego?

- Tak - wybąkała. - Znajomego.

- Rodowitego Greka?

- Zgadza się.

- Grecy są bardzo zaborczy. Domyślam się, że chciał od ciebie czegoś więcej niż przyjaźni?

- To było dawno temu - odparła wymijająco.

- I źle się skończyło?

Elizabeth zarumieniła się gwałtownie.

- Źle.

- I pozostał ci uraz do Greków?

- Nie, nie...

- Mogę cię zapewnić, że nie jestem taki jak większość moich rodaków. Nie zrażaj się jednym złym doświadczeniem.

Elizabeth nic nie odpowiedziała. Siedząc teraz naprzeciw Kristiana, zrozumiała, że Calista mogła być nim zauroczona. Ale grozić mu? Szantażować? Niemożliwe.

Tymczasem Kristian myślał o Elizabeth. Dobrze się czuł w jej towarzystwie. Z początku irytowała go jej apodyktyczność, lecz teraz uświadomił sobie, że miała rację, sprzeciwiając się mu, wyrwała go z letargu. Okazała się właściwą osobą na właściwym miejscu. Potrzebował kogoś takiego jak ona. Może nawet potrzebował właśnie jej?

- Dlaczego nic nie mówisz? - Elizabeth przerwała przedłużające się milczenie.

- Po prostu odpoczywam - odparł.

- To miło.

Siedzieli jeszcze trochę w milczeniu. Pokojówka sprzątnęła ze stołu.

Nagle Kristian usłyszał szuranie odsuwanego krzesła. Znudziła się? Już idzie do pokoju?

- Czujesz się zmęczona? - spytał.

- Odrobinę.

- Cóż... W takim razie dobranoc.

- Dobranoc - odpowiedziała łagodnym tonem.

Zostawszy sam, Kristian poczuł się straszliwie samotny. Brakowało mu Andreasa. Był jego bratem, jedynym członkiem rodziny. Rodzice zmarli kilka lat wcześniej. Ich śmierć zacieśniła więzy między nimi.

To jego powinienem ratować w pierwszej kolejności. Gdyby dało się odwrócić czas...

Powoli wyjechał wózkiem z jadalni i jeszcze wolniej zaczął jechać do biblioteki, gdzie spędzał całe dnie. Może Pano znajdzie mi coś ciekawego w radio? Może nastawi płytę z książką?

Jednak kiedy dotarł do biblioteki, odechciało mu się słuchać radia czy powieści z płyty.

Chciał z powrotem być sobą. Takim jak dawniej.

- Kristian? Mogę wejść? - spytała Elizabeth nieśmiało.

- Proszę - ucieszył się.

- Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli zapalę światło?

- Skądże.

- Wiesz, nie chce mi się jeszcze spać i pomyślałam, że mogłabym ci coś przeczytać. Gazetę, korespondencję, a może jakąś książkę? Co ty na to?

Kristian poczuł, jak wstępuje w niego otucha.

- Dziękuję ci.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ten wieczór zapoczątkował pewien rytuał, który trwał przez następne dwa tygodnie. W ciągu dnia Kristian intensywnie ćwiczył w dawnej jadalni, którą kilka miesięcy wcześniej przerobiono na salę gimnastyczną wyposażoną w nowoczesny sprzęt do rehabilitacji, wieczorem razem z Elizabeth, nie spiesząc się, jedli kolację, a potem spędzali godzinę albo dwie w bibliotece. Elizabeth czytała mu wówczas książkę, gazetę, albo czasopismo fachowe, które sam wybrał.

Elizabeth była zdumiona postępami, jakie robił jej podopieczny. Gdyby sama tego nie widziała, nie uwierzyłaby. Kolejny raz miała dowód na to, że najważniejsza jest motywacja.

Dwa dni po przyjeździe Elizabeth przybył ze Sparty Pirro, rehabilitant, były trener greckiej drużyny olimpijskiej. Traktował Kristiana tak, jak gdyby był kontuzjowanym sportowcem. Wyciskał z niego siódme poty.

Elizabeth od samego początku wiedziała, że Kristian stanie na własnych nogach. Nie spodziewała się jednak, że sukces nastąpi już po piętnastu dniach. Podziwiała jego heroizm.

Z ciężkim sercem myślała o tym, że już wkrótce

Kristian przeniesie się do Aten, do kobiety, która na niego czeka. Potem ożeni się z Cosimą i będzie żył z nią długo i szczęśliwie otoczony gromadką dzieci.

Obserwując pewnego dnia Kristiana ćwiczącego pod okiem Pirro na stacjonarnej bieżni, uświadomiła sobie, że jej zadanie jest skończone. Kristian już może wracać do Aten, ona zaś musi wracać do Londynu.

Weszła do ogrodu. Zastanawiała się, czy starczy jej odwagi, żeby opuścić Taygetos.

Przywiązała się do Kristiana. Za bardzo się przywiązała.

Nie myśl o sobie, pouczała się w duchu. Myśl o nim. O tym, czego dokonał w tak szybkim czasie. O jego uporze, asertywności, wierze, że pewnego dnia będzie zupełnie samowystarczalny.

Wciągnęła w płuca powietrze pachnące sosnami i spojrzała w dal na równinę meseńską. Kristian opowiedział jej, że to niezwykle żyzne ziemie, gdzie uprawia się niemal wszystko, łącznie z przepyszными oliwkami *Kalamata*. Za równiną rozciąga się morze z malowniczymi plażami i zatokami. Cudownie by było spędzić dzień nad morzem, przemknęło jej przez głowę.

- Elizabeth?

Obejrzała się.

Kristian, wspierając się na lasce, szedł ku niej. Z początku trudno go było namówić, żeby korzystał z laski - zwraca uwagę na moją ślepotę, wzbraniał się - lecz szybko docenił jej zalety.

- Jestem tutaj - odkrzyknęła Elizabeth - podziwiam widok na dolinę. - Kristian bardzo szybko znalazł się obok niej. Wciąż miał na sobie dresowe spodnie i koszulkę polo, w których ćwiczył. - Pirro dał ci niezły wycisk - zażartowała.

W odpowiedzi Kristian wzruszył ramionami.

- Wie, że lubię ciężkie wyzwania.

- Dobrze się czujesz?

- Wspaniale - zapewnił ją i uśmiechnął się szeroko, pokazując białe zęby. - Serce zabiło jej mocniej. On nigdy nie będzie mój, pomyślała. Pozostaje mi tylko kibicować mu w dążeniu, aby wyzdrowieć dla Cosimy. I chociaż ta myśl przyprawiała ją o dreszcz zazdrości, pocieszała się, że wkrótce usiądzie przy swoim biurku w Londynie i rzuci się w wir pracy. I nie będzie poddana takim pokusom jak tutaj. - Zglądałaś do sali gimnastycznej. Wszystko w porządku? - spytał.

- Chciałam się tylko dowiedzieć od Pirro, czy ma dla mnie jakieś polecenia na weekend - wyjaśniła.

- I ma?

- Nie.

- Czyli w weekend dał nam wolne. Tak?

- Tak. Snujesz jakieś wielkie plany? - zażartowała.

- Mam ochotę wypuścić się gdzieś na kolację.

- Brzmi bardzo zachęcająco.

- Żarty sobie ze mnie stroisz.

- Jakże śmiałabym żartować z jednego z najpotężniejszych ludzi w Grecji?

- Śmiałabyś, śmiała.

- Przeceniasz mnie. Jestem tylko skromną pielęgniarką, która troszczy się o ciebie.

- Czyżby?

- Masz jeszcze jakieś wątpliwości? Zamiast odpowiedzi, Kristian wyciągnął rękę i niespodziewanie dotknął jej policzka. Drgnęła, zaskoczona podniecającym ciepłem jego dłoni, lecz szybko opanowała niebezpieczne emocje.

- Nie, Kristianie - szepnęła i odwróciła twarz. - Zrobiłeś ogromne postępy... - zaczęła mówić, byle mówić. - Pod każdym względem... Nawet nie wiesz, jak dumna jestem z ciebie, jak cię podziwiam.

- Obawiam się, że to brzmi, jak mowa pożegnalna.

- To nie jest mowa pożegnalna, lecz masz rację, niedługo będę musiała cię opuścić. Praktycznie jesteś już niezależny i wkrótce przeniesiesz się do Aten.

- Nie lubię Aten.

- Ale twoja praca...

- Mogę pracować tutaj.

- Twoja rodzina...

- Nie mam rodziny.

Napięcie pomiędzy nimi narastało i stawało się niemal namacalne.

- Ale masz przyjaciół - Elizabeth rzekła mocnym tonem. - Wielu ludzi za tobą tęskni i pragnie twojego powrotu.

Przede wszystkim Cosima.

Kristian stanął do niej bokiem. Chwilę milczał, potem spytał:

- Kiedy?

- Co kiedy?
- Kiedy zamierzasz wyjechać? Wzruszyła niepewnie ramionami.
- Wkrótce. Szybciej, niż się spodziewałam - dodała szybko.
- Czyli kiedy? W przyszłym tygodniu? W jeszcze następnym?
Elizabeth nerwowo splótła dłonie.

- Później o tym porozmawiamy, dobrze?
- Czyli wcześniej? - Nie odezwała się. Skinęła tylko głową.
- Dlaczego?

- Obowiązki. Agencja w Paryżu ma jakieś kłopoty. Moja zastępczyni grozi rezygnacją z pracy. Nie mogę jej stracić. Muszę wrócić i uporządkować te sprawy.

- Czyli kiedy planujesz wyjechać? Elizabeth zawahała się chwilę, zanim odpowiedziała:

- Myślałam o poniedziałku. - Gardło jej się ścisnęło, lecz zdołała jeszcze dodać: - Po powrocie Pirra. - Kristian, wysoki, wyniosły, stał w milczeniu. Słuchał. - Porozumiałam się z Cosimą - ciągnęła Elizabeth. - Powiedziałam, że zrobiłam już wszystko, co mogłam, i że nie mogę brać od niej więcej pieniędzy.

Zataiła fakt, że poleciła księgowemu w Londynie, żeby zwrócił Cosimie honorarium, ponieważ Kristian obywatel się bez jej pomocy.

- Do poniedziałku zostały dwa dni - odezwał się Kristian.

- Trzy. I nie mówmy o poniedziałku. Znajdźmy sobie jakieś zajęcie - zaproponowała. - Może pobawimy się w ciuciubabkę?

Kristian uśmiechnął się z przymusem.

- Jesteś okropna!

- Wiem.

- Trudna z ciebie przeciwniczka.

- Dzięki za komplement.

- To nie był komplement! - Elizabeth roześmiała się. Lubiła się z nim droczyć. Uwielbiała jego towarzystwo. Był inteligentny, wykształcony, przystojny, potrafił ją rozbawić. - Nie wiem dokładnie, która jest godzina - Kristian zmienił temat - ale chyba dochodzi piąta, prawda?

Elizabeth zerknęła na zegarek.

- Dziesięć po.

- Zamówiłem kolację. Zdasz się przyszykować na szóstą?

- Zjemy tutaj?

- Nie.

- Idziemy do restauracji?! - wykrzyknęła, patrząc na dolinę i strome zbocza.

- To dla ciebie jakiś problem?

- Nie.

Gdzie chce mnie zabrać?, zastanawiała się. Zejście na dół zajmie kilka godzin, a niedługo przecież zrobi się ciemno. Może on o tym nie pomyślał?

Kristian wyłowił nutę wahania w głosie Elizabeth. Straszliwie irytowało go, że nie może jej zobaczyć, szczególnie w takich momentach jak ten. Gdyby mógł zobaczyć wyraz jej twarzy, wiedziałby, co znaczy owo wahanie. Czuł się bezradny.

- Może wolisz zostać tutaj... - zaczął niepewnie.

Może nie chce się ze mną pokazać publicznie? Ta okropna blizna na twarzy...

- Nie - zapewniła i dotknęła jego ramienia. - Chętnie gdzieś pójde. Po prostu nie wiem, co na siebie włożyć. Sukienkę? Zwyczajną czy elegancką? A jak ty się ubierzesz?

Kristian kurczowo ścisnął rączkę laski. Pragnął pogłodzić Elizabeth po policzku, poczuć pod palcami aksamitną gładkość jej skóry.

- Włożę ciemny garnitur, ale ty ubierz się tak, żeby ci było wygodnie. Niewykluczone, że wrócimy bardzo późno.

W czterech ścianach swojej sypialni Elizabeth nie ukrywała radości.

- Kristian zabiera mnie do jakiejś restauracji. Wrócimy późno. Dokąd pojedziemy? Jak późno wrócimy?

Pamiętając, jak Kristian zamierza się ubrać, przejrzała swoją garderobę i ostatecznie wybrała czarną koktajlową sukienkę z kremową koronkową wstawką.

Potem, stojąc pod prysznicem, starała się opanować narastające w niej podniecenie.

Jesteś pielęgniarzką, przypominała sobie. I nikim więcej. Nie podziałało.

Wysuszyła włosy. Miała zamiar nie związywać ich, lecz ostatecznie splotła w dwa warkocze i nisko na karku upięła w kok.

Na koniec wzięła czarny jedwabny szal, małą wizytową torebkę i zeszła na dół. Kiedy przechodziła przez hol, zwrócił jej uwagę dziwny szum gdzieś w oddali, lecz zanim zdążyła się nad nim zastanowić, szum ucichł.

Kristian już czekał na nią w bibliotece. Również wzięł prysznic i się przebrał. Miał na sobie czarne spodnie i nieskazitelnie białą koszulę. Czarny pasek i czarne pantofle dopełniały stroju. Z gładko zaczesanymi włosami, świeżo ogolony, robił oszałamiające wrażenie.

- Nie za skromnie? - spytał, unosząc ręce, jak gdyby szukał jej aprobaty.

- Nie - zapewniła go.

- A ty, co masz na sobie oprócz wysokich obcasów?

- Skąd wiesz, że włożyłam wysokie obcasy? Słyszałeś?

- Mmmm. Bardzo sexy.

Elizabeth zarumieniła się.

- Włożyłam czarną aksamitną sukienkę z koronką na staniku.

Trochę w stylu lat dwudziestych.

- Musisz wyglądać niewiarygodnie atrakcyjnie. Komplement i przekonanie, z jakim go wypowiedział, wzruszyły ją do łez.

Kristian nie przypominał żadnego ze znanych jej mężczyzn. I nie chodziło o jego majątek ani o towarzyską ogładę, lecz o rzeczy tak ulotne, jak tembr głosu czy skupienie, z jakim jej słuchał, albo staranny dobór słów, gdy do niej mówił.

- Ani w połowie tak niewiarygodnie jak ty - zrewanżowała się komplementem.

Uśmiechnął się przelotnie.

- Gotowa?

- Gotowa.

Szarmanckim gestem podał jej ramię, a ona wsparła się na nim. Razem udali się do głównego holu, gdzie czekał Pano, gotowy otworzyć przed nimi frontowe drzwi.

- Twój rydwan czeka - zażartował Kristian, przekraczając próg i kierując się w stronę biało-srebrnego helikoptera.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Helikopter.

Na jednym ze szczytów Taygetos.

Elizabeth zamrugała i potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

Nie, to nie był wytwór jej wyobraźni. W ostatnich promieniach słońca błyszczał prawdziwy biało-srebrny helikopter.

- Zastanawiałam się, jak dostajesz się tutaj - skomentowała. -

Nie wyglądasz na entuzjastę jazdy na osiołku.

Kristian roześmiał się.

- Chyba mogłem wysłać po ciebie helikopter - przyznał.

- Nie, nie. Wytrzeszenie się tym wózkiem jest bezcennym doświadczeniem.

Kristian ponownie się roześmiał i spytał:

- Leciałaś już kiedyś w życiu helikopterem?

- Tak. - W Ameryce jej rodzice korzystali z helikoptera, lecz ten rozdział swojego życia pozostawiła za sobą. - Ale dawno - dodała.

Pilot dał im znak, że mogą wchodzić na pokład, i Elizabeth podprowadziła Kristiana do schodków. Wewnątrz już sam bez jej pomocy odnalazł fotel i klamrę pasa bezpieczeństwa. Dopiero gdy byli już wysoko w powietrzu, Elizabeth przypomniała sobie, że najgorsze obrażenia odniósł przecież w katastrofie helikoptera, nie w lawinie. Spojrzała na twarz Kristiana, lecz nie dostrzegła na niej oznak żadnych niepokojących emocji.

- Przeżyłeś katastrofę - odezwała się mimo wątpliwości, czy poruszać ten temat. - Nie denerwujesz się teraz?

Kristian zmarszczył brwi.

- Znam pilota bardzo, bardzo dobrze. Poza tym sam mam licencję...

- Jesteś pilotem?

- To ja siedziałem wtedy za sterami. Aha.

- A inni? - szepnęła.

- Oni znajdowali się w różnych miejscach, mieli rozmaite obrażenia. Jednej osobie... Cosimie... udało się zjechać na dół. Ona i nasz przewodnik ocaleli. Dwójka naszych przyjaciół zginęła pod śniegiem. Ciała pozostałych odnaleziono dopiero później. - Elizabeth nie zadawała więcej pytań, mimo że bardzo by chciała poznać więcej szczegółów tragedii. Czy wracał po brata, kiedy nastąpiła katastrofa? Jak to się stało, że tak szybko odnalazł Cosimę, a nie Andreasa? Zerknęła na Kristiana. Owszem, zaczął chodzić, wzmocnił się

fizycznie, ale czy kiedykolwiek odzyska wzrok? Czy podda się kolejnej operacji? Co będzie, jeśli i ta próba się nie powiedzie? O Kristiana była spokojna, jakoś pogodzi się z losem. Za to miała wątpliwości co do Cosimy. Jej zależało, żeby Kristian był taki jak dawniej. „Musi być normalny, taki jak dawniej, bo inaczej nikt go nie będzie szanował”, dokładnie tak brzmiały jej słowa. Z głową pełną niewesołych myśli Elizabeth otuliła się szczelniej szalem i wyjrzała przez okno. W dole widziała Półwysep Peloponeski opromieniony poświatą zachodzącego słońca. - Jesteśmy już prawie na miejscu - odezwał się Kristian zniemacka i na jedno mgnienie dotknął jej kolana.

Poczuła ucisk w żołądku, tchu jej zabrakło. Zapragnęła, żeby dotknął jej jeszcze raz, chciała poczuć ciepło jego dłoni na kolanie, a potem wyżej...

Uspokój się! To jakiś obłąd!

Tymczasem helikopter zniżył się i już po chwili osiadł na płycie lotniska. Pilot pomógł im wysiąść. Natychmiast podjechała limuzyna.

- Gdzie jesteśmy? - spytała Elizabeth, gdy ruszyli.

- Na Kithirze. To wyspa u wybrzeży Peloponezu - dodał. - Dawno temu, zanim wybudowano Przesmyk Koryncki, wyspa przeżywała okres świetności. Później statki przestały zawijać do portu, wyspa się wyludniła i zbiedniała. - Jechali chwilę w milczeniu. - Przyjemnie jest wyrwać się z Taygetos - ciągnął. - Kocham to miejsce, ale od czasu do czasu lubię się wypuścić do jakiejś dobrej restauracji, znaleźć między ludźmi.

- Czyli jednak czujesz się odizolowany od ludzi.

- Jestem Grekiem.

Te dwa słowa wyjaśniały wszystko. Dla Greków rodzina, bardzo rozgałęziona, wielopokoleniowa, to świętość. Starsi rzadko mieszkają osobno, majątek jest wspólny. Ojciec nigdy nie wyda za żonę córki, nie ofiarując jej domu, ziemi, wszystkiego, na co go stać. Syn zawsze opiekuje się rodzicami. To nie jest oznaka miłości, lecz szacunku.

- To dlatego Cosima chce, żebyś wrócił do Aten - odezwała się Elizabeth łagodnym tonem.

- Tam jest twoje *parea*, grono twoich przyjaciół.

- Dla Greków przyjaciele są równie ważni jak rodzina. Kristian milczał. - Twoi przyjaciele stęsknili się za tobą - ciągnęła.

- Wszyscy moi przyjaciele zginęli.

- Nie... - zaprotestowała.

- Posłuchaj - przerwał jej - oni zginęli we Francji. Mój brat i moi przyjaciele.

Elizabeth przymknęła powieki. Nie powinnam była naciskać, wyrzucała sobie.

- Przepraszam.

- Nie masz za co. Nie wiedziałas.

- Ale wydawało mi się... Cosima powiedziała... - Elizabeth zaczęła się płatać.

- Co powiedziała? Wkrótce się przekonasz, że nie można wierzyć we wszystko, co ona mówi.

- Nawet jeśli ma najlepsze intencje?

W samochodzie zapadło milczenie. Po raz kolejny Elizabeth miała wrażenie, że powiedziała coś niestosownego. Przycisnęła dłonie do kolan. Czuła się nieswojo.

- Może powiem ci, gdzie zjemy kolację - odezwał się Kristian, zmieniając temat. - Jedziemy do maleńkiej wioski, nietkniętej przez czas, nieodkrytej przez turystów. Na jej skraju znajduje się moja ulubiona restauracja zaprojektowana przez jednego z greckich architektów i jego żonę, artystkę. Jedzenie jest proste, ale świeże, a widok zapiera dech w piersiach.

- Ze wszystkich lokali na świecie wybierasz wiejską restaurację na całkowitym odludziu?

- Lubię takie spokojne miejsca. Nie zależy mi na rozgłosie i światłach reflektorów.

- Zawsze taki byłeś czy...

- Nie, to nie skutek wypadku. To Andreas był ekstrawertykiem, uwielbiał huczne imprezy i tak zwane wielkie towarzystwo.

- Nie chodziłeś z nim na te imprezy?

- Oczywiście, że chodziłem. Był moim bratem i najlepszym przyjacielem. Ale pozwalałem mu błyszczeć i brylować za nas dwóch. Mnie bardziej bawiła rola obserwatora. - Tymczasem księżyc wyszedł zza chmur i w jego świetle Elizabeth mogła dostrzec profil Kristiana, ostre rysy jego twarzy i pełne usta. Jak smakują?, przemknęło jej przez myśl. Kristian tak ją pociągał, że niemal traciła kontrolę nad sobą. Powinna się od niego odsunąć, bliskość jego ramiona, jego ud, czasami nawet otarcie się o niego, kiedy samochód zarzucił,

kompletnie ją rozpraszała. Serce zaczęło jej bić mocniej. Założyła nogę na nogę, po chwili zmieniła pozycję. Muszę się uspokoić, powtarzała w myśli. - Jesteś zdenerwowana? - spytał Kristian.

- Chyba tak - wyznała. - Chciałabym rozprostować nogi.

Zmęczyło mnie to siedzenie.

- Już niedaleko.

- Nie skarżę się.

- Wcale tak nie pomyślałem. Jesteś zmęczona?

- Skądże.

- Głodna?

- Nie. Tak. Może. - Roześmiała się. - Przepraszam, naprawdę nie wiem, co się ze mną dzieje.

Kristian odszukał jej rękę. Pomyślała, że chce potrzymać jej dłoń w swojej, lecz on odwrócił jej dłoń, sprawdził puls i po chwili stwierdził:

- Masz przyspieszone tętno.

- Wiem - szepnęła.

- Chyba się mnie nie boisz?

- Nie.

- Może się boisz być ze mną sam na sam? Serce zaczęło jej bić jeszcze szybciej.

- A czego miałabym się obawiać?

Delikatnie pogładził wnętrze jej dłoni i dopiero wtedy cofnął rękę.

- Bo dzisiaj nie jesteś moją pielęgniarką, a ja nie jestem twoim pacjentem. Jesteśmy po prostu dwojgiem ludzi wybierającymi się na wspólną kolację.

- Dwojgiem zaprzyjaźnionych ze sobą ludzi - odparła, chociaż tchu jej brakło.

- A czy przyjaźń między mężczyzną i kobietą jest możliwa?

Elizabeth głos odmówił posłuszeństwa. Na szczęście właśnie w tej chwili dojechali na miejsce. Nie czekała, aż kierowca otworzy jej drzwi, tylko wyskoczyła z samochodu.

Przy wejściu do restauracji powitano ich jak członków rodziny. Właściciel uściskał i wycalował Kristiana, potem zaprowadził ich do stolika we wnęce z wykuszowym oknem.

- Najlepszy stolik, synu. Dla ciebie wszystko, co najlepsze.

Kiedy właściciel odszedł, Elizabeth zauważyła:

- Nazwał cię „synem”.

- To maleńka wyspa. Tu wszyscy są jak jedna rodzina.

- Tak dobrze się znacie?

- Kiedyś spędzałem tutaj dużo czasu.

Elizabeth wyjrzała przez okno. Znajdowali się powyżej wioski przycupniętej na zboczu góry. W dali błyszczało morze. Światelka domów migotały w ciemności, księżyc odbijał się w białych grzywach fal rozbijających się o przybrzeżne skały.

Właściciel wrócił z prezentem - butelką ulubionego wina Kristiana. Elizabeth wzniosła toast:

- *Yassis*. - Stuknęli się kieliszkami. - Za twoje zdrowie.

- *Yassis* - odpowiedział.

Milczeli. Elizabeth przyglądała się swojemu towarzyszowi. Zauważyła nagłą zmianę jego nastroju, nerwowe poprawianie się na krześle. Wydał jej się strasznie samotny, strasznie odizolowany od świata.

- Coś się stało? - spytała. - Powiedziałam coś niewłaściwego? -
W odpowiedzi potrząsnął tylko głową. - Powiedz. Proszę...

Mięsień zadrgał mu na policzku.

- Chciałbym móc cię zobaczyć. Bój jeden wie, jak bardzo tego pragnę.

Elizabeth zarumieniła się. Całe jej ciało ogarnęła fala gorąca, a natychmiast potem chłodu.

- Dlaczego? - wyszeptała.

- Po prostu chciałbym zobaczyć, jak wyglądasz. Znowu zrobiło jej się gorąco.

- Dlaczego? - powtórzyła. - Przecież jestem kolejną sekutnicą.

- *Ohi!* - zaprzeczył gwałtownie. - Nie. Absolutnie.

Drżącą ręką zaczęła przekładać sztucce.

- Skąd wiesz?

- Poznałem brzmienie twojego głosu, wiem, jak pachniesz.

Wiem, że ledwie sięgasz mojego ramienia, nawet na wysokich obcasach. Wiem, jaka jest w dotyku twoja skóra, gładka, miękka, jak najdelikatniejszy aksamit albo płatek kwiatu.

- Chyba znalazłeś jeszcze jakieś fiołki ze środkami odurzającymi
- zażartowała.

Kristian przechylił głowę i spojrzał na nią błękitnymi niewidzącymi oczyma.

- A ty chyba naprawdę boisz się być ze mną sam na sam.

- Mylisz się.

- Czyżby?

- Absolutnie. - Sięgnęła po szklanę z wodą mineralną, wypła łyk, potem jeszcze jeden i jeszcze jeden, aż bąbelki zaszczyptały ją w nosie. - Nie boję się - zapewniła go, stawiając szklanę na śnieżnobiałym wykrochmalonym obrusie. - Wytłumacz, czego miałabym się bać?

- Nie jestem taki miły, jak inni mężczyźni.

- Twoje stwierdzenie nawet nie zasługuje na odpowiedź.

- Dlaczego?

- Bo drażnisz się ze mną. Kristian wybuchnął śmiechem.

- Moja ty spryciaro.

Serce jej podskoczyło w piersi. Jego? Bawi się ze mną, chce, żebym zapragnęła być kimś więcej, niż jestem, otrzymać więcej, niż mogę. Więcej miłości.

Jego miłości.

A przecież jest już prawie zaręczony z inną. A ja przeżyłam piekło z mężczyzną, który nie dotrzymał przysięgi małżeńskiej.

Gdyby miała dokąd pójść, wstałaby i uciekła.

- Posłuchaj, Kristianie - zaczęła. - Nie mogę bawić się z tobą w takie gierki.

Zmarszczył brwi.

- O jakich gierkach mówisz?

- Obojętnie, jak je nazwiemy. Wcześniej powiedziałaś, że nie jesteśmy pacjentem i pielęgniarką, tylko mężczyzną i... i kobietą. Ale to nieprawda. Nie ma żadnych „nas”. Ja jestem twoją pielęgniarką. Tylko nią mogę być.

Kristian odchylił się na oparcie krzesła.

- I kiedy za dwa dni wrócisz do Londynu, wciąż będziesz moją pielęgniarką? - spytał.

- Za trzy dni.

- Dwa.

Elizabeth wstrzymała oddech. Zaciśnęła dłonie, potem powoli wypuściła powietrze z płuc.

- *Latrea mou*, nie bawmy się w gierki, jak się wyraziłaś.

Powiedz szczerze, dlaczego musisz wracać?

- Prowadzę firmę, zresztą ty też. Twoi dyrektorzy i członkowie zarządu nie mogą się doczekać, kiedy przyjedziesz do Aten i przejmiesz stery.

- Mogę zarządzać firmą z Taygetos. Elizabeth gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nie możesz. Nie tak jak należy. Są spotkania, konferencje, wywiady dla prasy...

- Inni mogą mnie zastąpić - zbył ją. - W dalszym ciągu stoję na czele korporacji.

Elizabeth prychnęła z pogardą.

- Ale fizycznie cię nie ma. Wiesz, że to nie to samo.

- Skąd drobna Angielka może znać się na takich rzeczach?
- Znam się na nich lepiej, niż ci się wydaje - odcięła się.
- Mówimy o świecie wielkich korporacji.
- Zapominasz, że też prowadzę własną firmę. Teraz z kolei

Kristian prychnął.

- Która, jak już ustaliliśmy wcześniej, nie jest najlepiej zarządzana.

Elizabeth poczuła się urażona.

- To nie było uprzejme z twojej strony. Ani konieczne.

Kristian wzruszył ramionami.

- Prawda nie zawsze jest przyjemna. W moim przypadku usługi twojej agencji były na żenująco niskim poziomie. Jedna pielęgniarka wepchnęła mi się do łóżka, a potem mnie szantażowała, inne mną pomiatały.

Elizabeth zmięła serwetkę i odsunęła się z krzesłem.

- A może to ty jako pacjent nie byłeś na poziomie?

- Jak to możliwe?

- Jak? Boże! Jesteś bardziej zarozumiała, niż sądziłam. Jak to możliwe? Mam ci uświadomić?

- Zamieniam się w słuch. Kawa na ławę.

- Dobrze. - Krew się w niej gotowała. Najchętniej by go spoliczkowała. - Prawda jest taka, że byłeś beznadziejnie trudnym pacjentem. Najgorszym w dziejach mojej agencji, a obsługujemy setki klientów rocznie. Jeszcze nigdy nie trafił się nam nikt tak skoncentrowany na sobie i tak manipulujący innymi. I jeszcze jedno. -

Urwała, wzięła głęboki oddech i wypaliła: - Jeśli ci się wydaje, że chciałam rzucić wszystko i znowu jechać do Grecji, to jesteś w błędzie. Absolutnie nie! Zrobiłam to, bo nie było chętnych, a twoja narzeczona mnie błagała. - Na drżących nogach Elizabeth wstała. - A skoro o niej mowa, mógłbyś do niej zadzwonić. Moje zadanie skończone. Teraz jej kolej dotrzymywać ci towarzystwa.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Elizabeth minęła kilka stolików i wybiegła z restauracji, lecz gdy tylko znalazła się na zewnątrz, chłodne nocne powietrze otrzeźwiło ją. Ogarnął ją wstyd.

Nie dość, że zostawiła Kristiana, mężczyznę, który nie widzi, samego, lecz na dodatek wyszła w połowie kolacji. W Grecji posiłki są święte, podobnie jak rodzina.

Co się ze mną dzieje, zastanawiała się. Była załamana. Kristian wzbudzał w niej tak intensywne uczucia, że nie mogła przebywać w jego pobliżu. To utwierdziło ją w przekonaniu, że musi wyjechać. Skoro nie potrafi kontrolować własnych emocji, jak może pomóc jemu odzyskać równowagę psychiczną?

W Londynie wszystko będzie inaczej.

Nie będę widywała Kristiana.

Tam to ja będę panią sytuacji.

Potrząsnęła głową. Myśl, że za kilka dni Kristian zniknie z jej życia, była nie do zniesienia.

Jak mogę go opuścić?

Jak mogę zostać?

Boże, ale się zaplątałam.

Wzięła głęboki oddech i zawróciła. Kristian wciąż siedział przy stoliku. Jego profil zdradzał najwyższe napięcie.

Elizabeth z ciężkim sercem usiadła na swoim miejscu.

- Przepraszam - szepnęła. - Przepraszam - powtórzyła. - Nie wiem, co więcej mogłabym powiedzieć.

- Nie przepraszaj. To nie twoja wina.

- Wszystko się tak zamotało...

- To nie ty, to ja. - Zamknął oczy, namyślał się, jak gdyby szukał odpowiednich słów. - Wiedziałem, że kiedyś będziesz musiała wyjechać, tylko nie spodziewałem się, że to nastąpi tak szybko. Zaskoczyłaś mnie, mówiąc mi o tym właśnie dzisiaj.

Elizabeth spojrzała badawczo na jego twarz. Nagle pojęła, że pokochała tę twarz. I pojęła, że to uczucie głębokie i prawdziwe.

- Posłuchaj - zaczęła - nie opuszczam cię. Po prostu wracam do biura i pracy, jaka tam na mnie czeka.

Kristian milczał przez chwilę, podniósł kieliszek do ust, lecz zaraz odstawił, nie pijąc.

- Nie mogłabyś przenieść swojego biura tutaj? - spytał.

- Czasowo?

- Na stałe. Nie zrozumiała.

- To nie ja dokonałam tego cudu. To ty sam. To dzięki uporowi, wielu godzinom ciężkich ćwiczeń...

- Przed twoim przyjazdem nie zależało mi na wyzdrowieniu. A teraz zależy.

- Bo dochodzisz do zdrowia.

- Więc nie wyjeżdżaj, dopóki całkiem nie wyzdrowieję.

Elizabeth zamknęła oczy, rozdarta między nadzieją i bólem.

- Ale jeśli przeniosę tu biuro, jeśli zostanę, żeby ci pomagać, to...

- Tak? Potrząsnęła głową.

- To co będzie ze mną? Co stanie się ze mną, gdy wyzdrowiejesz? - Po raz pierwszy dziękowała losowi, że Kristian nie może zobaczyć jej łez ani jak je ukradkiem ociera, żeby nikt w restauracji nie zauważył, że płacze. - Spakuję rzeczy i przeniosę się do Londynu. - Kristian nic nie odpowiedział.

- Wybacz, ale czasami przebywanie w Grecji jest dla mnie torturą - ciągnęła. Wiedziała, że nie to powinna powiedzieć, lecz mimo że nie chciała go dotknąć, musiała chronić samą siebie. Już za bardzo się do niego przywiązała. Wyjazd teraz był lepszy niż czekanie i patrzenie, jak odchodzi do innej. Serce by jej chyba pękło. - Lubię cię. Naprawdę bardzo...

- Ja ciebie też. I też bardzo.

- To nie to samo.

- Nie rozumiem. Niczego nie rozumiem. Wiem tylko jedno. Tu jest twoje miejsce. Przy mnie.

- Mówił słowa, jakie pragnęła usłyszeć, lecz kontekst był niewłaściwy. Chciał, żeby została, bo potrzebował jej pomocy i wsparcia. Pragnął jej towarzystwa, bo dobrze mu ono robiło. Co mi z

tego przyjdzie, że zostanę? - Elizabeth, *latrea mou* - ciągnął łagodniejszym głosem - potrzebuję cię.

Latrea mou. Kochanie.

Łzy znowu napłynęły jej do oczu.

- Nie dziwię się, że na każdym kontynencie miałeś kochankę - odezwała się niskim głosem.

- Doskonale wiesz, co kobiety chcą usłyszeć.

- Zmieniasz temat.

- Stwierdzam fakt.

- Nieprawdziwy.

- Ale Cosima twierdziła...

- Chodźmy - oświadczył, wstając. - To nie ma sensu.

Przepraszam - dodał - ale wyjdźmy stąd.

- *Kyrie*, wszystko gotowe! - wykrzyknął właściciel, widząc, że opuszczają restaurację. - Na pewno nie chcecie zostać?

- Niestety, nie możemy - odparł Kristian i wyciągnął portfel. - Możesz zawołać mojego kierowcę?

- Tak, tak. Ale przynajmniej zapakuję wam coś na wynos. Może później będziecie mieli ochotę zjeść.

- Dziękuję.

Pięć minut później siedzieli w samochodzie, każde wciśnięte w swój kąt, żeby być jak najdalej od siebie. Zerwała się wichura, pierwsze krople deszczu uderzyły o szyby. Elizabeth patrzyła przez okno, usiłując zrozumieć, co właściwie zaszło między nimi.

Wieczór, który się tak dobrze rozpoczął, nagle zmienił się w kompletną katastrofę.

- O co właściwie chodzi? - odważyła się spytać. - W helikopterze jeszcze wszystko było w porządku i tak dobrze się nam rozmawiało. - Kristian nie odpowiedział. Sprawiał wrażenie, jak gdyby przebywał w innym świecie. Ignoruje mnie? Chce mnie ukarać? - Proszę...

- Pogoda się pogorszyła. Helikopter dziś nie polecą. Musimy się zatrzymać w Chorze - rzekł, unikając odpowiedzi na jej pytanie.

Wjechali już do tego portowego miasta. W oddali, w górze, majaczył potężny warowny zamek.

- Zarezerwowałeś hotel?

- Nie jedziemy do hotelu. Przenocujemy w prywatnym domu.

- U twoich przyjaciół?

- To mój własny dom. Jeden z kilku.

Elizabeth wyjrzała przez okno. Zbliżali się do fortecy.

- To daleko stąd?

- Nie bardzo wiem, gdzie teraz jesteśmy.

- Kierujemy się w stronę zamku.

- Czyli jesteśmy prawie na miejscu.

- Dom stoi blisko zamku?

- Jedziemy do zamku.

- Nie rozumiem.

- Należy do mnie.

- To ile masz tych posiadłości?

- Kilka.

- I wszystkie są tak okazałe?

- To historyczne budowle. Niektóre jeszcze w ruinie. Ale właśnie tym między innymi zajmuje się moja korporacja. Kupujemy zabytki i staramy się je urządzić tak, aby przynosiły zyski.

- To autentyczny zamek?

- Wenecki. Budowę rozpoczęto w trzynastym wieku, ukończono w piętnastym.

- Co zamierzasz z nim zrobić? Kristian prychnął.

- Moi księgowi są zdania, że to studnia bez dna, ale kiedy go trzy lata temu kupiłem, nie potrafiłem już zamienić go w pięciogwiazdkowy hotel, jak początkowo zamierzałem.

- Sam w nim mieszkasz?

- Zajmuję jedno ze skrzydeł. Ale od wypadku jeszcze tam nie byłem.

- Więc cały czas praktycznie stoi pusty, tak? Słaby uśmiech pojawił się na jego ustach.

- Jakbym słyszał moich księgowych! Nie, nie stoi pusty. Razem z pewnym włoskim architektem urządziliśmy w nim już dwa luksusowe apartamenty na wynajem. Mam nadzieję, że w przyszłym roku uda się nam wykończyć i wynająć kolejne dwa.

Limuzyna zwolniła i zatrzymała się. Kierowca wysiadł, obszedł auto i otworzył drzwi.

- Jesteśmy na miejscu.

Jak spod ziemi pojawiło się kilku służących w liberiach i zanim Elizabeth zdążyła się zorientować, odprowadzili ją w jedną stronę, a Kristiana w drugą.

Pozostawiona sama w jakimś pokoju, kompletnie zdezorientowana zaczęła się zastanawiać, gdzie w ogóle się znajduje.

Sytuacja przypominała tę z dzieciństwa, kiedy jako jedyna córka Ruperta Stile'a, czwartego na liście najbogatszych ludzi w Ameryce, często mieszkała z rodzicami w superluksusowych hotelach.

Owszem, mieli domy - z tuzin wspaniałych rezydencji - lecz matka lubiła towarzyszyć mężowi w podróżach, a ją zabierali ze sobą. Oczywiście z opiekunkami.

Elizabeth, wówczas Grace Elizabeth Stile, wychowywała się w cieplarnianych warunkach, niczym księżniczka, a kiedy doszła do pełnoletności, stała się ozdobą towarzystwa podziwianą za urodę i znalazła się w centrum zainteresowania mediów.

Z całego świata napływały zaproszenia na rozmaite imprezy. Najlepsze domy mody przygotowywały dla niej specjalne kreacje. Miała własne pieniądze, własny samolot, osobistego specjalistę od kreowania wizerunku. Mężczyźni zabiegali o jej względy, a prasa popularna skrupulatnie odnotowywała, z kim się spotyka.

I wtedy na scenie pojawił się grecki magnat, Nico. Elizabeth była jeszcze bardzo młoda - niedawno skończyła dwadzieścia lat - i nie myślała poważnie o przyszłości, lecz Nico przypuścił zmasowany atak. Nie odstępował jej, otaczał specjalnymi względami, zasypywał

prezentami. Po sześciu miesiącach się zaręczyli. Potem odbył się ślub jak z bajki. Miała wówczas dwadzieścia trzy lata.

Po pół roku zastała męża w łóżku z inną kobietą.

Nie odeszła, uległa błaganiom, aby dała mu drugą szansę. Nico obiecywał poprawę, przysięgał, że nigdy więcej... Co z tego? Jeszcze przed pierwszą rocznicą ślubu ponownie ją zdradził.

Nie raz.

Rozwód był dla niej koszmarem przeżyciem. Nico zażądał połowy jej majątku i rozpętał w prasie szkalującą kampanię przeciwko niej. Twierdził, że jest zepsutą bogaczką, skoncentrowaną tylko na sobie płytką egoistką, która postawiła sobie za cel wzięcie go pod pantofel i skompromitowanie, że kontrolowała jego wydatki i odmówiła spełniania obowiązków małżeńskich.

Oczywiście wszystko to były oszczerstwa wysane z palca, lecz opinia publiczna stanęła po stronie Nica. Kiedy sprawa rozwodowa dobiegła końca, Grace była wrakiem człowieka. Znienawidziła swoje nazwisko i majątek, czuła się zniesławiona, odarta z czci.

Przeprowadziła się do Anglii, zmieniła nazwisko, zapisała do szkoły pielęgniarstwa i stała się inną kobietą: zrównoważoną, zasadniczą, praktycznie myślącą.

Teraz jednak owa zrównoważona Elizabeth wróciła do Grecji i przeżywała głębokie rozterki.

Nie powinna była wracać do Grecji, nawet jako pielęgniarka zatrudniona do opieki nad kalekim mężczyzną, magnatem w sile wieku. I już zdecydowanie nie powinna wsiadać z nim do helikoptera

i dać się zawieźć na małą grecką wysepkę. I na pewno nie powinna zgodzić się na spędzenie nocy w trzynastowiecznym zamku.

Powoli, niczym nakręcana baletnica na szkatułce z biżuterią, obróciła się i rozejrzała po pokoju. Gdzie podział się Kristian? Czy zobaczę go jeszcze tej nocy? Czy też zostawił mnie tu samą aż do rana?

Nagle światło przygasło, potem rozbłysło na nowo, a następnie zaległa kompletna ciemność.

W pierwszym odruchu Elizabeth po omacku podeszła do łóżka i usiadła na nim. Była pewna, że lada moment prąd zostanie włączony albo ktoś ze służby przyniesie świecę. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

Mijały minuty.

Nikt się nie pojawił.

Nie mogąc nawet dojrzeć tarczy zegarka, Elizabeth nie umiała powiedzieć, ile czasu minęło. Może godzina? W końcu miała tego wszystkiego dość. Poza tym zgłodniała. Postanowiła, że skoro nikt się nie zainteresował jej losem, sama musi podjąć jakieś działania.

Po omacku, potykając się o meble, trafiła do drzwi. W korytarzu było jeszcze ciemniej niż w pokoju.

Rozsądna kobieta zawróciłaby i położyła się spać, ale Elizabeth doskwierał głód i, nie oszukujmy się, strach, uniemożliwiający trzeźwe myślenie. Skreśliła w lewo - zapamiętała, że tam znajdują się schody - i wolno, ostrożnie zaczęła posuwać się naprzód.

W pewnej chwili jej uszu dobiegł jakiś słaby odgłos. To nie było ani skrzypienie podłogi, ani otwieranie drzwi, lecz jakby westchnienie, stłumiony jęk.

Serce podskoczyło jej do gardła, zimny pot wystąpił na całym ciele.

W korytarzu ktoś był.

Czyhał.

Nagle rozległ się głuchy stuk, potem zaległa cisza. Elizabeth wyteżyła słuch. Wyłowiła dalsze szmery, czyjś oddech, zduszony szloch, jak gdyby nie całkiem ludzki, drapanie w ścianę...

To było ponad jej siły. Odwróciła się na pięcie, wyciągnęła rękę przed siebie i szybko zaczęła iść z powrotem do swojego pokoju. Miała tylko nadzieję, że do niego trafi.

Świadomość, że nie wie, gdzie się znajduje ani co, czy kto, kryje się w ciemności, potęgowała ogarniający ją paniczny strach. Wszystko może się za chwilę wydarzyć!

Nagle usłyszała kolejne głuche stąpnięcie, coś otarło się o jej rękę. Mimowolnie krzyknęła i stanęła jak sparaliżowana.

- Elizabeth?

- Kristian - szepnęła z ulgą. - Pomóż mi. Pomóż mi - błagała.

Kristian otoczył ją ramionami i opiekuńczym gestem przyciągnął do siebie.

- Co się stało? - spytał.

- Tu ktoś, coś jest... - wybąkała przez zaciśnięte gardło. - Coś przerażającego.

- To tylko twoja wyobraźnia - zapewnił ją spokojnym tonem i jeszcze mocniej objął.

Ciemność, niemożność zobaczenia czegokolwiek, wciąż ją paraliżowała.

- Nie, nie - upierała się. - Niczego nie widać. Jest ciemno, ale...

- Ciemno?

- Tak. Światła nie ma już nie wiem jak długo.

- To przez tę burzę. Chodź, twój pokój jest tu obok. -

Zaprowadził ją do sypialni, znalazł koc, okrył ją nim. - Już lepiej?

Skinęła głową i szepnęła:

- Och, tak.

- W takim razie pójdę.

- Nie! - zaprotestowała i chwyciła go za rękaw, uczepiła się jego dłoni.

Kristian znieruchomiał na moment, potem wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia, szyi, policzka. Opuszkami palców delikatnie przesunął po jej twarzy, odnalazł oczy, nos, wargi.

- Każ mi odejść - poprosił schrypniętym głosem.

Pod wpływem jego dotyku Elizabeth przymknęła oczy. Ciepło płynące z jego palców rozgrzało ją.

- Będę się bała.

- Rano możesz żałować, że pozwoliłaś mi zostać.

- Nie, jeśli tylko się wyśpię.

Pogładził palcem jej wargi, jak gdyby chciał zapamiętać ich kształt.

- Jeśli zostanę, nie dam ci zasnąć. Drgnęła.

- Jesteś strasznie pewny siebie.

- Przekomarzasz się ze mną, *latrea mou*? - Elizabeth ogarnęło podniecenie. Pragnęła złączyć się z jego ciałem. Instyktownie rozchyliła usta, koniuszkiem języka dotknęła palca Kristiana. Usłyszała, jak gwałtownie wciąga powietrze. Koniuszki jej piersi stwardniały, poczuła ostry skurcz w dole brzucha. - Na pewno chcesz tego? - spytał.

Zamiast odpowiedzieć dotknęła klamry jego paska, potem powoli przesunęła dłoń niżej na krocze.

Kristian przyciągnął ją do siebie i okrył jej twarz pocałunkami.

- Zostań - szepnęła.

- Jak długo? Do północy? Do rana? Do południa?

- Jak długo zechcesz.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jeszcze żaden mężczyzna nie sprawił, że czuła się tak wspaniale, żaden nie obudził w niej tyle namiętności, żaden nie dostarczył jej tylu wspaniałych doznań, nie dał takiej satysfakcji, nie przeniósł wraz z sobą w inny wymiar.

Przytuliła się do Kristiana i szepnęła:

- Kocham cię. Naprawdę.

Kristian przeczesał palcami jej włosy, pochylił się nad nią, pocałował brwi, powieki, czubek nosa.

- Moja kochana angielska pielęgniarka w szponach namiętności - zażartował.

- Nie jestem Angielką - zaprzeczyła. - Jestem Amerykanką.

- Słucham?

- Jestem Amerykanką - powtórzyła.

- W takim razie to wszystko wyjaśnia - odparł. - Twoje przewrażliwienie na własnym punkcie. Amerykanie wszystko biorą do siebie.

- I kto to mówi!

- Jakiego koloru są twoje oczy? - spytał zniecierpliwiony. - Niebieskie? Zielone? Brązowe?

Do Elizabeth doszło teraz ze zdwojoną siłą, że Kristian może nigdy nie zobaczy, jak ona wygląda.

- Niebieskie - odpowiedziała. - I wcale nie jestem wysoka - dodała. - Mam tylko metr sześćdziesiąt wzrostu.

- Kiedy przyjechałaś, myślałem, że masz z metr osiemdziesiąt.
Elizabeth zachichotała.

- Jesteś okropny, wiesz?

- Poprzednie pół tuzina pielęgniarek wciąż mi to powtarzało.

Przytuliła się mocniej do niego i spytała:

- Naprawdę nie domyślałeś się, że wychowałam się w Nowym Jorku?

- Naprawdę. Tam jest twój dom?

- Był. Od lat mieszkam w Londynie. I tam jestem szczęśliwa.

- Tak?

- Właściwie nie mieszkam w samym Londynie, ale w Windsorze. Biuro mam w Richmond. To godzina jazdy pociągiem w jedną stronę, ale nie narzekam. W pociągu czytam, przeglądam papiery, układam plan dnia.

Gładząc jej włosy, Kristian rzekł, jak gdyby od niechcienia:

- Mój okulista przyjmuje w Londynie, wiesz?

- Zamierzasz poddać się operacji? - spytała ostrożnie.

- Zastanawiam się nad tym.

- Poważnie?

- Tak. Uważasz, że powinienem spróbować? Elizabeth przypomniały się słowa Pana, że Kristianowi potrzebna jest nadzieja.

Namyślała się chwilę nad odpowiedzią, zanim się odezwała.

- Będziesz musiał żyć ze skutkami tej decyzji.

- Może lepiej po prostu poznać wyrok? - odparł. - Może powinienem spróbować i mieć to z głowy, zamiast żyć złudzeniami.

- Szanse są niewielkie, prawda?

- Mniej niż pięć procent.

Mało zachęcające. Gardło jej się ścisnęło.

- Robisz znakomite postępy - zaczęła. - Jeśli operacja się nie powiedzie, znajdziesz w sobie tyle siły, żeby się z tym pogodzić?

- Nie wiem - odpowiedział po namyśle. - Nie wiem, czy jestem silny. Wiem natomiast, że chciałbym odzyskać wzrok.

- Na pewno.

- I chciałbym uwolnić się od laski. Nie lubię pokazywać się z nią. Wyglądam głupio, kiedy nią poruszam przed sobą, sprawdzając...

- Absurd! - wykrzyknęła i raptownie usiadła.

- Po pierwsze, laska nie wygląda głupio, a po drugie, wygląd nie jest najważniejszy. Życie i miłość nie mogą zależeć od wyglądu.

Dobroć, odwaga, pokora, siła, to się liczy. - Urwała i wzięła głęboki oddech. - I ty te cechy posiadasz nawet w nadmiarze. - Jak gdyby dla zaakcentowania jej słów, w tym samym momencie włączono prąd i rozbłysły wszystkie światła. Patrząc na ich nagie ciała, Elizabeth nie czuła skrepowania. Należę do niego, pomyślała. Ciałem i duszą. - Jest już światło - poinformowała.

- Moja strata - mruknął, przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Elizabeth nagle zaczęło burczeć w żołądku.

- Przepraszam. Zgłodniałam.

- Ja też - odparł i zaproponował: - Chodźmy poszukać naszej kolacji.

Elizabeth pozbierała porozrzucone ubrania i podała Kristianowi jego rzeczy. Nagle znieruchomiała: Cosima!

- Boże - szepnęła.

Co ja zrobiłam? Co ja zrobiłam...

- Co się stało? - zaniepokoił się Kristian. - Kiedy nie uzyskał odpowiedzi, powtórzył: - Elizabeth? Gdzie jesteś? Odezwij się!

- Co my zrobiliśmy? Kristian! Co my zrobiliśmy? - wybąkała.

Co ja zrobiłam!

- Żałujesz? Już? Tak szybko? - Żałuję? Elizabeth była bliska łez. On nigdy nie będzie mój!

- Czy jest w Londynie ktoś, kto liczy się w twoim życiu? - spytał, a w jego głosie zabrzmiała poważna nuta.

- Nie.

- Ale jesteś z kimś w stałym związku?

- Nie.

Mimo że nie widział, dokładnie wiedział, gdzie stoi. Podszedł i położył jej dłonie na ramionach. Zesztywniała, bojąc się jego gniewu, lecz on objął ją, przytulił i musnął wargami jej policzek, ucho, szyję.

- Co się stało, *latrea mou*? Skąd te wątpliwości?

Elizabeth przyłożyła mu dłoń do piersi. Pod palcami czuła bicie jego serca.

- Zależy mi na tobie - zaczęła - ale nie mogę. To był z mojej strony błąd. Straszny błąd.

Kristian wypuścił ją z objęć i cofnął się o krok.

- To z powodu moich oczu? Żal ci się mnie zrobiło, bo nie mogę cię zobaczyć?

- Nie.

- Wiem, że coś cię trapi. Błąd? Nie rozumiem, o czym ty mówisz.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Posłuchaj. Nie jest tak, jak myślisz. Kocham być z tobą. Chciałam być przy tobie...

- Więc o co chodzi? Znowu o Cosimę? Boże! Gdzie się nie obróczę, natykam się na nią. Nawet w sypialni!

- Kristianie...

- Mam tego dość! Co cię łączy z Cosimą? Kontrakt? Pieniądze? Powiedz, ile ci zapłaciła, a oddam jej wszystko.

- Tu nie chodzi o pieniądze, ale o was... O ciebie i o nią.

Kristian parsknął śmiechem.

- Cosima? Cosima i ja? Ta diablica z piekła rodem?

- Nie jesteście parą?

- Parą? Ty chyba oszalałaś, *latrea mou!* To przez nią nie mogłem podnieść się z łóżka, przemóc się, żeby zacząć chodzić, wrócić do życia. Dlaczego chciałbym być z kobietą, która była związana z moim bratem?

- Z twoim... z twoim bratem?

Twarz Kristiana pobladła, blizna na policzku nabiegła krwią.

- Była narzeczoną Andreasa. On zginął, ona przeżyła. Zginął, bo to jej pierwszej ruszyłem na ratunek. Ocaliłem ją dla niego. -

Elizabeth potrząsnęła głową. Oczywiście. Oczywiście! Wróciła pamięcią do rozmowy z Cosimą. Cosima nie powiedziała wprost, że jest zakochana w Kristianie. Powiedziała, że bardzo się o niego martwi, że chce, żeby wrócił do Aten, ale nic więcej. Powiedziała tylko, że ma nadzieję... Nadzieję. To wszystko. - Więc jak? Musisz wracać do Paryża w poniedziałek? Czy to tylko była wymówka? - spytał krótko Kristian.

- Muszę - odrzekła cicho.

- I nadal żałujesz?

- Posłuchaj...

- Czyli tak.

- To wszystko nie jest takie proste.

- Więc jakie jest?

- Ja...

Zaniknęła oczy. Nie wiedziała, jak mu powiedzieć, czyją była żoną, jakie oszczerstwa na nią spadły, jak uciekła do Londynu i zmieniła tożsamość. Żaden pomysł nie przychodził jej do głowy. Odżył ból. Grace Elizabeth Stile nie całkiem umarła. Była piękna, bogata, olśniewająca, zajmowała wysoką pozycję społeczną, lecz była też naiwna, słaba, zbyt ufna i zbyt wrażliwa.

- Co, ja?

- Nie mogę zostać w Grecji - wyszeptała. - Nie mogę.

- Czy to z powodu owego greckiego *ornio*, którego poznałaś na wakacjach?

- To była nie tylko wakacyjna znajomość.

- Poważniejsza?
- Zostałam jego żoną.

Kristian milczał dłuższą chwilę, potem rzekł zmienionym głosem:

- A więc to tak.
- Jak? - spytała, podchodząc bliżej.
- Nie jestem dla ciebie partnerem. Nie możesz mi ufać ani szanować...
- Nieprawda.
- Prawda. Spędziliśmy razem dwa tygodnie, byliśmy ze sobą dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że byłaś mężatką? Dlaczego pozwoliłaś mi sądzić, że to był tylko przelotny wakacyjny romans?
- Bo... bo nie lubię o tym mówić.
- Dlaczego?
- Bo wyszłam z tego mocno poturbowana. Bardzo mocno. - Głos jej się łamał, łzy zapiekły pod powiekami. - Pozostał mi uraz. Bałam się.
- Tak jak po wypadku w basenie? - Elizabeth przygryzła dolną wargę. Uderzyła ją nuta sarkazmu w głosie Kristiana. - Nie ufasz mi - ciągnął. - Ale skoro myślisz, że kochałbym się z jedną kobietą, będąc związany z inną, to znaczy, że mnie nie znasz. - Serce Elizabeth wypełniło się nagłym lękiem. Był coraz bardziej zły, zadawał ciosy. - Za kogo mnie masz? - spytał poniesionym głosem. - Za cynicznego nikczemnika?

- Nie jesteś... - zaczęła protestować, lecz nie pozwolił jej dokończyć.

- Myślałaś, że jestem zaręczony z Cosimą.

- Niczego nie myślałam.

- Myślałaś - upierał się.

- Nie sądź mnie...

- Dlaczego? Ty mnie przecież osądziłaś.

Łzy popłynęły jej z oczu.

- Kocham cię - wyjąkała. Kristian wzruszył ramionami.

- Nie wiesz, co to miłość, jeśli poszłaś do łóżka z mężczyzną podobno zaręczonym z inną kobietą.

Serce przeszył jej ostry ból. Spojrzała na Kristiana z niedowierzaniem. Czy naprawdę musimy tak wszystko komplikować?

- Nie potrafię tego wytłumaczyć, Kristianie, nie znajduję teraz słów, ale musisz wiedzieć, co czuję. Co naprawdę czuję. Musisz wiedzieć, dlaczego tu jestem. Dlaczego zostałam z tobą tak długo.

- Może dla pieniędzy? - zaczął szydzić. Podszedł do drzwi i otworzył je.

- Mylisz się. Nie biorę żadnych pieniędzy. Jej pieniądze...

- Bardzo to szlachetnie brzmi.

Niczego nie rozumiał. Nie widział, jak bardzo go kocha, jak mocno w niego wierzy, że zrobiłaby wszystko, żeby mu pomóc. Żeby go uszczęśliwić.

- Proszę... - szepnęła i wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć.

Strząsnął jej dłoń z ramienia i wyszedł na korytarz.

Odrzucenie było jak cios w samo serce. Przez chwilę nie mogła się nawet poruszyć, lecz zaraz potem uświadomiła sobie, że nie może pozwolić mu odejść, nie w ten sposób.

Nieporozumienie. Duma. Ego.

Żadna z tych rzeczy nie może ich rozdzielić. Żadna się nie liczy, jeśli naprawdę im na sobie nawzajem zależy. Ona go kocha, a sposób, w jaki on ją obejmuje, świadczy, że darzy ją uczuciem. Na miłość boską, nie jesteśmy nastolatkami, tylko ciężko poturbowanymi przez życie dorosłymi ludźmi, którzy powinni wiedzieć, co jest ważne, a co nie!

Ważna jest miłość. Odwzajemniona.

Ważne jest mieć kogoś przy sobie na dobre i na złe.

Wybiegła z pokoju. Kiedy była już w połowie schodów, nagle usłyszała z dołu otwieranie drzwi, potem kroki.

- Witaj, Kristianie! - rozległ się znajomy męski głos, który wprawił ją w przerażenie. - Właśnie się dowiedzieliśmy, że przyjechałeś!

Nico?

- A co ty tu porabiasz? - zdziwił się Kristian.

- Od czasu do czasu ja i moja przyjaciółka mieszkamy tutaj - wyjaśnił Nico. - Nie wiedziałeś, że wynajęliśmy jeden apartament? Głowę bym dał, że cię powiadomili. Pano wie, bo kilka dni temu z nim rozmawiałem.

- Ostatnio byłem bardzo zajęty - odburknął Kristian.

Nogi ugięły się pod Elizabeth. Przykucnęła i wówczas deski podłogi zaskrzypiały. Mężczyźni podnieśli głowy. Elizabeth kurczowo przytrzymała się balustrady.

To jakiś koszmarny sen! To nie dzieje się naprawdę!

Nico, równie zaskoczony jak ona, roześmiał się z niedowierzaniem.

- Grace?! - wykrzyknął, potem przeniósł wzrok na Kristiana i spytał: - Co tu jest grane?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Kristian.

- To ty mi wytłumacz.

- Chyba nie potrafię. Ale przez moment pomyślałem, że ty i ona, to znaczy Grace, jesteście parą.

- Grace? A nazwisko?

- Stile. Moja była żona.

- O kim ty mówisz? Tutaj nie ma żadnej Grace - sztywno zaprzeczył Kristian.

- Owszem, jest. Stoi na półpiętrze. Blondynka w czarnej sukience.

Kristian spojrzał niewidzącymi oczyma w górę.

- Kristianie... - szepnęła Elizabeth.

- To moja pielęgniarka. Elizabeth Hatchet.

- Pielęgniarka? A to dobre! - Nico wybuchnął śmiechem. -

Wygląda na to, że teraz ciebie omotała. Ta twoja Elizabeth to Grace Stile, moja była żona. I cholernie przebiegła naciągaczka, polująca na bogatych mężczyzn.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kristian poczuł się tak, jak gdyby otrzymał cios w splot słoneczny. Nie mógł oddychać, nie mógł uczynić żadnego ruchu, mógł jedynie stać, łapiąc ustami powietrze. Dusił się.

Elizabeth to nie Elizabeth, tylko Grace Stile?

Kobieta, w której się zakochał, nie jest tą, za którą się podaje?

Nosi nawet inne imię. Może w ogóle nie jest pielęgniarką?

Może rzeczywiście jest naciągaczką, oszustką, polującą na bogatych mężczyzn, jak twierdzi Nico?

Naciągaczka.

To słowo rozsadzało jej głowę.

Zrobiło jej się gorąco, potem natychmiast zimno, potem znowu gorąco.

- Nie jestem naciągaczką - wydusiła z siebie Elizabeth, kiedy nareszcie odzyskała głos. Na chwiejnych nogach zeszła ze schodów. - Ty... Ty... To ty... - zaczęła się jąkać.

Chciała się bronić, lecz nie znajdowała słów. Tchu jej brakowało.

To Nico ją zdradził.

To Nico ożenił się z nią dla pieniędzy.

To Nico nastawił całą grecką prasę i opinię publiczną przeciwko niej.

Zamienił jej życie w piekło, zmusił do zapłacenia wszystkich kosztów rozwodu, potem ograbił z majątku. I nie tylko z majątku.

Uczył ją kaleką emocjonalną, intelektualną, fizyczną. Latami dochodziła do siebie, wyzbywała się bólu, poczucia zagrożenia, wściekłości.

Była wściekła, bo zabrano jej miłość, dom, rodzinę i najdroższe marzenia. Mieli być mężem i żoną, małżeństwem, partnerami.

A on uczynił z niej dojną krowę dla uzupełnienia kurczącego się własnego majątku.

Tymczasem Nico zupełnie ją ignorował i z szyderczym uśmiechem na twarzy dalej mówił coś do Kristiana. Elizabeth uderzył kontrast między nimi. Obaj byli przystojni, lecz Nico wyglądał jak typowy wymuskany playboy, Kristian zaś jak doświadczony przez życie dojrzały mężczyzna.

- Uwiedzie cię - Nico ciągnął oskarżenia - i wmówi, że to był twój pomysł. Kiedy już zaciągnie cię do łóżka, powie, że cię kocha. Będzie cię zapewniać o miłości, ale to chciwość będzie przez nią przemawiać. Wyciśnie z ciebie wszystkie pieniądze...

- Dość tego! - przerwał mu Kristian. Poblądł, blizna przecinająca policzek wyglądała jak czerwona pręga.

- To wszystko kłamstwa - wykrztusiła Elizabeth. - Ani jedno słowo...

- Powiedziałem dość! - uciał Kristian, odwrócił się i odszedł.

Elizabeth jakoś udało się wrócić do pokoju. Rzuciła się na łóżko. Nie mogła jednak ani spać, ani płakać. Nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Modliła się o to, żeby gdy wstanie dzień, okazało się, że to był tylko senny koszmar.

Płonne nadzieje.

Rano do drzwi zastukała pokojówka. Przekazała jej wiadomość, że samochód czeka.

Myjąc twarz, Elizabeth unikała spojrzenia w lustro. Wygładziła sukienkę i zeszła na dół. Kamerdyner zaprowadził ją do limuzyny.

Ku jej zaskoczeniu nie miała podróżować sama. W samochodzie siedział już Kristian.

- Dzień dobry - szepnęła i usiadła jak najdalej od niego.

W odpowiedzi nieznacznie kiwnął głową i dopiero kiedy kierowca ruszył, odezwał się:

- Więc byłaś żoną Nica. - Milczała. Wiedziała, że dla Kristiana, Greka, rozwód jest nieważny. Jest żoną Nica. Świat zawirował jej przed oczami. - Czekam... - ponaglił ją ostrym tonem.

- Tak - szepnęła przez łzy.

- I nie nazywasz się Elizabeth. - Głos odmówił jej posłuszeństwa. Mogła tylko wpatrywać się w Kristiana i wymyślać zaklęcia: gdyby Nico nie okazał się jednym z lokatorów zamku, gdyby Cosima nie stanęła między nimi, gdybym wiedziała, kim ona jest. - Czekam...

Ogarnął ją gniew.

- Na co? - wybuchnęła. - Na spowiedź? Nie mam zamiaru się spowiadać. Nie zrobiłam niczego złego...

- Wszystko, co zrobiłaś, było złe - syknął. - Wszystko.

Zaczynając od tego, że nie nazywasz się Elizabeth Hatchet. - Żołądek

podjechał jej do gardła. Przełknęła ślinę. - Skoro Nico był twoim mężem, nie znam cię. - Milczała. Kristian wyciągnął rękę, dotknął głowy, przesunął dłonią po twarzy. - Jesteś Grace Stile, tak?

- Byłam nią. Grace Stile już nie istnieje.

- Była piękną - zakpił i opuszkami palców musnął jej wargi. Elizabeth zadrżała. W nocy jego dotyk wprawiał ją w ekstazę, teraz przerażał.

- Nie jestem nią.

- Grace Stile, córka amerykańskiego potentata...

- Nie.

- Ozdoba nowojorskich salonów...

- Nie ja.

- Bogatsza od greckiego magnata, którego poślubiła. - Kiedy milczała, ciągnął: - Twój ojciec, Rupert Sti...

- Grace Stile umarła - ostrym tonem przerwała mu Elizabeth. - Jestem Elizabeth Hatchet, prowadzę agencję pielęgniarstwa i tylko to się liczy.

Kristian prychnął z pogardą.

- Ale prawnie nie jesteś tą osobą, za którą się podajesz.

Elizabeth zawahała się chwilę, zanim wyjaśniła.

Po raz pierwszy w życiu ujawniała przed kimś tę informację.

- Hatchet to nazwisko panięskie mojej matki, a Elizabeth to moje drugie imię.

Kristian roześmiał się nieprzyjemnie, potem spytał:

- A jesteś przynajmniej dyplomowaną pielęgniarką?

- Oczywiście!

- Oczywiście - powtórzył, jak gdyby ją przedrzeźniał. Nie zareagowała. Milczenie przedłużało się. - Dziwne - zaczął po dłuższej chwili - myślisz, że wiesz, co jest prawdą, co nie, a nagle okazuje się, że nic nie wiesz.

- Przecież wiesz, że jestem pielęgniarką. Poza tym zrobiłam MBA z zarządzania sferą usług medycznych.

- Nie wiem. Nie widzę. Możesz być kimkolwiek. I okazuje się, że jesteś! Gdybym nie był ślepy, nie udałaby ci się ta sztuczka.

Rozpoznałbym cię.

- To mi nawet nie przyszło do głowy.

- Na pewno?

- Na pewno.

Dojechali na miejsce. Zanim wysiedli z samochodu, Kristian dotknął ręki Elizabeth i spytał:

- Twoje dyplomy... Na jakie są nazwisko?

- Moje dyplomy - odpowiedziała, starając się ignorować wspomnienie doznań, jakie jego dotyk, ciepło jego ciała, wywoływały w niej w nocy - zdobyłam w Anglii. Jako Elizabeth Hatchet.

- Bardzo sprytnie - skomentował i cofnął dłoń.

Uczepiła się kurczowo jego ręki. Ogarnęła ją panika. Zbliżał się koniec, lecz ona nie mogła się z tym pogodzić.

- Posłuchaj... Nie kierowałam się sprytem. Przeprowadzka do Anglii, zmiana nazwiska, to był akt desperacji. Nie chciałam już być Grace Stile. Chciałam... zacząć wszystko od nowa. I dokonałam tego.

Kristian nie odpowiedział. W helikopterze zawiadomił ją, że lecą bezpośrednio do Aten, gdzie dostarczono z klasztoru jej bagaże.

Wczesnym popołudniem powinna być w Londynie.

Na lotnisku w Atenach, gdy już miała wsiadać do prywatnego odrzutowca, nagle spytał:

- Dlaczego medycyna? - Zaskoczył ją tym pytaniem. Odwróciła się i spojrzała na niego. Tak musiał wyglądać przed wypadkiem, pomyślała, wysoki, dumnie wyprostowany, pewny swojej władzy. - W Stanach studiowałeś zdaje się historię sztuki, tak?

Historia sztuki. Czy nie dzięki zainteresowaniu antykiem spotkała Nica? Na otwarciu wystawy greckiej sztuki starożytnej w jednym z najbardziej prestiżowych nowojorskich muzeów?

- Medycyna jest praktyczniej sza - odparła. Wróciła wspomnieniem do chwili, kiedy dokonywała wyboru: przeprowadzka na drugą stronę Atlantyku, nowa tożsamość... Chciała robić coś innego, stać się lepsza, dać coś z siebie innym.

- Medycyna to pomaganie ludziom, czynienie dobra - dodała.

- I żerowanie na ludzkiej słabości.

- Nigdy niczego takiego się nie dopuściłam! - zaprotestowała gwałtownie.

- Nigdy?

- Nigdy. - Mina Kristiana wyraźnie świadczyła, że jej nie wierzy. Już otwierała usta, żeby powiedzieć coś na swoją obronę, lecz zrezygnowała. Nieważne. On i tak będzie myślał to, co zechce.

- Żegnaj. *Kali tiki.*

- Życzysz mi powodzenia? - zdziwił się.
- W czym? - spytał, podchodząc bliżej.
- We wszystkim - odparła.
- A co to wszystko ma znaczyć?

Pomyślała o tym, co go czeka. Jeśli zechce, to obojętnie, czy odzyska wzrok, czy nie, ma przed sobą dobre, ciekawe życie.

- Twoje życie - wyjaśniła. - Jeszcze wiele przed tobą - dodała i szybko, zanim zdążył ją powstrzymać, weszła na schodki i zniknęła w klimatyzowanym wnętrzu samolotu.

W Londynie rzuciła się w wir pracy. Każda godzina spędzona w biurze oznaczała godzinę mniej rozmyślań o Kristianie, Grecji i o tym, co w ciągu tamtych dwóch tygodni przeżyła.

Jadąc codziennie rano pociągiem do Richmond, analizowała, co się tam w jej życiu wydarzyło.

Jak do tego doszło.

Dlaczego?

Przecież mężczyźni jej nie interesowali, nie umawiała się na randki, nie szukała kochanka. Nie dążyła do założenia rodziny. Poświęciła się pracy i firmie i to jej dotychczas wystarczało. Czuła się spełniona.

Lepiej żyć skromnie, mówiła sobie, pakując dokumenty do teczki.

Postanowiła dziś pojechać do domu wcześniej. Od kilku dni dokuczały jej jakieś dolegliwości żołądkowe. Właściwie od przyjazdu z Grecji dwa miesiące temu nie czuła się najlepiej. Kiedy otworzyła drzwi swojego gabinetu, sekretarka podniosła głowę.

- Wciąż kiepsko się pani czuje? - spytała ze współczuciem.

- Niestety tak - odarła Elizabeth.

- Jeśli złapała pani w Grecji jakąś infekcję, to bez antybiotyku się nie obejdzie, moja droga. Wiem, że się powtarzam, ale naprawdę powinna pani pójść do lekarza.

Nieoceniona pani Shipley miała oczywiście rację. Elizabeth męczyły nudności na zmianę ze skurczami żołądka, bolała ją głowa, nie mogła spać.

Lecz tym, czego obawiała się najbardziej, i co wciąż odsuwała od siebie, było podejrzenie, że przyczyną złego samopoczucia nie jest zatrucie żołądkowe, lecz coś zupełnie innego.

Coś znacznie poważniejszego.

Dziecko Kristiana Koumantarosa rozwijające się w jej łonie.

Od dwóch miesięcy nie miała okresu, lecz nie mogła się zdobyć, żeby zrobić test ciążowy.

Jeśli nie jestem w ciąży - fantastycznie.

Jeśli jestem...

Jeśli jestem, to co?

To Kristian powinien się o tym dowiedzieć.

Czy to coś mu da, zastanawiała się nazajutrz, walcząc z przyływem porannych nudności. Czy da coś dziecku, mnie?

Jakoś udało jej się dotrzeć do biura, potem dotrzeć do popołudnia. W pociągu powrotnym, mniej więcej w połowie drogi do domu, nabrała pewności.

Jestem w ciąży.

Co powie Kristian? Przecież mną gardzi.

Wpadła w panikę.

Nie mogę dopuścić, żeby się o tym dowiedział, postanowiła.

Mieszkamy na przeciwnych krańcach Europy. Na wyspach oddzielonych od kontynentu morzami. Nie ma mowy o tym, żebyśmy się przypadkowo spotkali.

Serce waliło jej jak młotem. Starając się opanować, powiodła wzrokiem po pasażerach, przyjrzała się różnej marki laptopom, potem zatrzymała wzrok na mężczyźnie siedzącym vis-a-vis niej, zasłoniętym gazetą.

Koumantaros na leczeniu w Londynie.

Koumantaros.

Kristian?

Dech jej zapało. Pochyliła się do przodu, żeby lepiej widzieć. Zdażyła jednak przeczytać tylko pierwszą linijkę, zanim nieznajomy przewrócił stronę.

Lecz już wiedziała. Dzisiejszego dnia, w klinice okulistycznej w Londynie, Kristian przeszedł operację przywrócenia wzroku.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wracając ze stacji do swojego małego domku, Elizabeth czuła narastające w niej zdenerwowanie i przygnębienie. Atmosfera historycznego Windsoru zawsze działała na nią kojąco po stresującym dniu w pracy, lecz dzisiaj spacer potęgował tylko wzbierający w niej niepokój.

Szóstym zmysłem wyczuwała, że wokół niej dzieje się coś dziwnego.

Wyrównała krok, starała się odegnać lęki. Powtarzała sobie, że jest przemęczona i że ponosi ją wyobraźnia.

Nikt jej nie śledzi.

Nikt za nią nie idzie.

Nic złego się nie stanie.

A jednak w miarę zbliżania się do domu, uczucie niepewności i zagrożenia wzmogło się.

W weekendy Windsor przyciągał turystów, oferując wiele atrakcji - zamek królewski, sklepy, wspaniałe spacery nad Tamizą - lecz gdy wchodziła do domu i zamykała za sobą drzwi, pomyślała, że jej mały domek stoi w cichej, mało uczęszczanej uliczce na uboczu.

Ktoś mógł niezauważony iść za nią od samej stacji.

Ktoś może się włamać. Nikt nie zobaczy ani nie usłyszy jej wołania o pomoc.

Starannie zamknęła wszystkie zamki, potem sprawdziła kuchenne wejście, i dopiero potem zdjęła płaszcz i włączyła ogrzewanie.

W kuchni nastawiła wodę na herbatę i już miała zacząć przyrządzać toasty, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Znieruchomiała z opakowaniem pieczywa testowego w ręce. Pukanie powtórzyło się.

Odłożyła chleb, wyszła na korytarz i zanim otworzyła drzwi, zerknęła przez okno.

Przed domem stał najnowszy model jaguara, a na schodkach jej domu stał jakiś mężczyzna, odwrócony tyłem do drzwi. Lecz ona od razu go rozpoznała - wzrost, linia ramion, kształt głowy.

Kristian tutaj?

A przecież dzisiaj odbyła się operacja... Podobno się odbyła... Tak było napisane w gazecie...

Chyba że zrezygnował, przemknęło jej przez głowę.

Nie, on by nie zrezygnował.

Z sercem walącym jak młotem odsunęła zasuwkę i otworzyła drzwi. Słyszając ten dźwięk, Kristian drgnął i odwrócił się twarzą do niej.

- Kristian - szepnęła Elizabeth.

- Sekutnica? - spytał jak gdyby nigdy nic.

Patrząc na niego, Elizabeth pomyślała, że przypomina pięknego anioła - wyraziste rysy twarzy, czarne włosy, błękitne oczy. Przeróżającego anioła. Przysłanego, żeby ją osądził, ukarał.

Spojrzała ponad jego ramieniem na samochód, elegancki czarny jaguar z przyciemnionymi szybami i mimowolnie zadała sobie pytanie, ile limuzyn ma w ilu miejscach na całym świecie.

- Ty... tutaj? - wybąkała wstrząśnięta.

W głowie miała pustkę, w sercu lęk. Nie, on nie może wiedzieć. Nie wie. Przecież ona sama dopiero teraz się zorientowała.

- Tak. Ja.

Patrzył na nią niewidzącymi oczami. Serce jej przepełniło się współczuciem. Nie poddał się operacji. Przemyślał wszystko na nowo i zrezygnował. Nie, nie winiła go za taką decyzję - chodziło przecież o pionierski, bardzo ryzykowny zabieg - lecz utwierdziła się w swoim postanowieniu, żeby zataić przed nim wiadomość o ciąży... Przy- najmniej jeszcze na pewien czas.

- Skąd wiedziałeś, że tutaj mieszkam? - spytała.

- Miałem twój adres - odpowiedział beznamiętnym tonem.

- Rozumiem... - Niczego jednak nie rozumiała. Jej domowy adres nie widniał na żadnym dokumencie. Chociaż, jeśli człowiek taki jak Kristian chciał się dowiedzieć, gdzie mieszka, nietrudno mu było zdobyć tę informację. Ma pieniądze, kontakty. Ludzie chętnie zdradzą mu rozmaite szczegóły. A od czego są prywatni detektywi. Nie, nie posunąłby się aż do tego... Czyżby? Elizabeth ze zmarszczonym czołem przyglądała się gościowi, starając się znaleźć wyjaśnienie, co robi w Windsorze, na dodatek na progu jej domu.

Przedłużające się milczenie przerwał nagły gwizd. Kristian uniósł głowę, ściągnął brwi. - To czajnik - wyjaśniła. - Właśnie

miałam sobie zrobić herbatę. Wyłączę - dodała i nie czekając na jego odpowiedź, ruszyła do kuchni. Zgasiła gaz, odwróciła się i zobaczyła Kristiana tuż za sobą. W tej samej chwili jej mała staroświecka kuchenka z prostymi rustykalnymi meblami wydała się jej bardzo skromna i prymitywna. - Och! - wykrzyknęła przestraszona i cofnęła się. - To ty!

Kąciki jego ust zadrgały.

- Znowu ja.

- Znowu ty. - Elizabeth wytarła spocone dłonie w spódnicę. Jak on może poruszać się tak szybko? Tak jak gdyby znał rozkład domu, albo... albo jak gdyby widział... Czy to możliwe? Serce zaczęło jej bić szybciej, nerwy miała napięte do ostateczności. Co za dzień! Tyle emocji! Wpierw pewność, że jest w ciąży, teraz Kristian zjawia się w jej domu!

- Od jak dawna jesteś w Anglii? - spytała.

Starła się dojsć, co się właściwie dzieje.

- Od prawie miesiąca.

Już miesiąc jest w Anglii. Musiała wziąć głęboki oddech, żeby się odrobinę uspokoić.

- Nie wiedziałam. - Kristian milczał, uniósł tylko jedną brew.

Przynajmniej pewne rzeczy się nie zmieniły, pomyślała. Jest tak samo mało komunikatywny, jak był. Ale to nie znaczy, że ja mam zachowywać się podobnie. - Co z operacją? Wyznaczono ją na dzisiaj, nie pomyliłam się?

- Skąd wiesz?

- Przeczytałam w gazecie. W pociągu, w drodze do domu.

Napisali, że dzisiaj przeszedłeś operację w klinice w Londynie.

- Doprawdy? Elizabeth była coraz bardziej zaintrygowana.

- Tak napisali - dodała obronnym tonem.

- Aha... - mruknął i uśmiechnął się łagodnie.

Rozmowa urwała się. Elizabeth odwróciła się i zajęła się herbatą. Toczyła wewnętrzną walkę ze sobą. Dobre wychowanie nakazywało poczęstować gościa i chociaż nie miała ochoty przedłużyć tej wizyty, w końcu zaproponowała:

- Napijesz się herbaty?

- Już myślałem, że nigdy nie zapytasz - odpowiedział i błysnął białymi zębami w szerokim uśmiechu.

Drżącymi rękami wyjęła z szafki drugą filiżankę i spodeczek.

Przecież nie widzi...

Coś tu się nie zgadza, tak jak wcześniej szeptał jej szósty zmysł.

- Masz ochotę na grzanekę?

Czuła się kompletnie zdezorientowana. Irytowało ją to.

- Dziękuję, ale nie.

Odłożyła chleb na bok. Ze zdenerwowania kompletnie straciła apetyt.

- A ty nic nie zjesz? - spytał łagodnie.

- Nie.

- Nie jesteś głodna?

Skąd wie, że zrezygnowałam z jedzenia?

- Wracając do twojej operacji - odezwała się. - Nie miałeś jej dzisiaj.

- Nie. Odbyła się miesiąc temu.

Kolana się pod nią ugięły. Musiała przytrzymać się blatu, żeby nie upaść.

- Miesiąc temu? - szepnęła, nie spuszczać wzroku z jego twarzy.

- Uhm - mruknął.

Nie był zbyt rozmowny. Przełknęła ślinę.

- Widzisz coś?

- Niedokładnie.

Niedokładnie, powtórzyła w myśli. W głowie jej się zakręciło z wrażenia.

- Powiedz... Powiedz, co widzisz? - poprosiła.

- Już nie jestem skazany na całkowity mrok. Jednym okiem widzę tylko ciemniejsze kształty, ale drugim trochę więcej.

Prawdopodobnie już nigdy nie będę mógł prowadzić samochodu ani latać, ale ciebie widzę.

- I co widzisz teraz? - wybąkała.

- Ciebie. - Serce zabiło jej gwałtownie. - Kolory nie są takie jak dawniej - ciągnął - wszystko jest wyblakłe, raczej szarawe albo białawe, ale wiem, że stoisz przy stole. Że jedną rękę opierasz na blacie, a drugą przyłożyłaś do brzucha.

Miał rację. Dokładnie tak było. Przyłożyła dłoń do brzucha, bo zbierało jej się na wymioty.

- Kristianie! - wyrwało jej się.

Spojrzał na nią, naprawdę spojrzał, a ona nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy rozpłakać. Widział. Niedokładnie, jak określił, ale to już był ogromny postęp. Mógł być prawie całkowicie samodzielny. Niezależny od innych, odzyskać pozycję, kontrolę nad własnym życiem.

Nagle doszło do niej, że skoro widzi, dostrzeże zmiany zachodzące w jej wyglądzie. Zorientuje się, że jest w ciąży...

Żołądek podjechał jej do gardła.

- Przyjechałeś tu dzisiaj, żeby mi o tym powiedzieć? - spytała. - Podzielić się dobrymi nowinami?

- I uczcić twoją dobrą nowinę. Zachwiała się z wrażenia.

- Moją?

- Przecież ty też masz dobrą nowinę.

Elizabeth zmobilizowała całą siłę woli, żeby zapanować nad nerwami.

- Nie wydaje mi się - odpowiedziała wymijająco.

- To zależy, jak na to spojrzeć - odparł. - Spędziliśmy ze sobą zaledwie dwa tygodnie i dwa dni i to było dokładnie dwa miesiące i dwa dni temu. W ciągu tamtych dwóch tygodni w zasadzie dobrze nam było ze sobą, pomijając jeden czy dwa incydenty, prawda?

Elizabeth wzroku nie mogła od niego oderwać. Sprawiał wrażenie mocnego, pełnego energii. I mówił takim pewnym siebie tonem.

- Jeden albo dwa - przyznała.

- Jednym z tych niefortunnych zdarzeń był wyjazd na Kithirę na kolację, której nawet nie tknęliśmy. Siedzieliśmy w mojej ulubionej restauracji i nie spróbowaliśmy wysmienitych dań.

Elizabeth skrzyżowała ręce na piersiach.

- I to było twoje największe rozczarowanie?

- Gdybyś kiedykolwiek spróbowała tamtejszej kuchni, zrozumiałabyś, o czym mówię. O kwintesencji greckiego jedzenia.

- I przyjechałeś powiedzieć mi, że ominęła mnie wspaniała kolacja?

Wzbierała w niej wściekłość. Zacisnęła dłonie. Jest wykończona po ciężkim dniu pracy, ma nudności z powodu ciąży, martwi się o jego wzrok, zadrećza pytaniami o przyszłość, a on myśli tylko o niezjedzonej kolacji?

- To wsiądź do samolotu i każ pilotowi zawieźć się tam z powrotem - wypaliła.

- A co ty będziesz z tego miała? Wciąż nie będziesz wiedziała, co cię ominęło. - Urwał i gestem wskazał maleńki salonik. - Dlatego przywiozłem kolację ze sobą.

- Co?! - wykrzyknęła.

- W twoim stanie nie ryzykowałbym lotu. Dobro dziecka jest dla mnie najważniejsze.

- Jakiego dziecka? - wydusiła z siebie.

- Naszego - odparł krótko.

Odwrócił się i przeszedł do saloniku, który podczas gdy oni rozmawiali w kuchni, zamieniono w jadalnię.

Właściciel restauracji na Kithirze z pomocą kelnera, który ich obsługiwał tamtego wieczoru, ustawili stół i krzesła i nakryli dla dwóch osób. Zgasili światło, zapalili świece, włączyli dyskretną muzykę.

Elizabeth stanęła jak wryta. Jej pokój jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmienił się w grecką tawernę.

- Co się tutaj dzieje? - zażądała wyjaśnień.

Kristian wzruszył ramionami.

- Zjemy zaległą kolację. Teraz. - Podeszedł do stołu, zapraszającym gestem odsunął krzesło. - Greckiemu dziecku potrzebne jest greckie jedzenie.

- Daj spokój, Kristianie...

- Przecież to prawda. - Twarz mu spoważniała. - Nosisz w łonie nasze dziecko.

- Moje dziecko - poprawiła go.

- Nasze. Nasze - powtórzył z mocą, patrząc jej w oczy. - Zaprzeczysz? - Światło świec, biały obrus na stole, cicha grecka muzyka w tle, bliskość Kristiana sprawiły, że łzy napłynęły Elizabeth do oczu. Dwa miesiące bez wiadomości od niego! Dwa miesiące bez wytłumaczenia, żalu, przebaczenia! Dwa miesiące trudnego do zniesienia milczenia i oto zjawia się i zaczyna nią rządzić! - Wiem, że ostatnio źle się czujesz - ciągnął spokojniejszym tonem. - Wiem, bo z daleka śledziłem, co robisz.

Kolana się pod nią ugięły. Usiadła, lecz nie przy stole, a w jednym z foteli

- Uważasz mnie za oszustkę i naciągaczkę - rzekła.

- Ja? Ciebie? Grace Stile, kobietę niemal tak bogatą jak Athina Onassis Roussel?

Elizabeth zacisnęła dłonie na podolku.

- Nie chcę rozmawiać o Grace Stile.

- Za to ja tak - oświadczył Kristian i usiadł w drugim fotelu naprzeciwko niej. - Chcę rozmawiać o Nicu i o Cosimie, i wszystkich innych podejrzanych indywiduach z naszego prywatnego greckiego dramatu. - Tymczasem sprowadzony z Kithiry restaurator i kelner zniknęli w kuchni i, jak świadczyły dochodzące stamtąd zapachy, zajęli się podgrzewaniem albo przyrządzaniem dań. - Wiem, że twoje małżeństwo było piekłem, a rozwód jeszcze gorszą traumą. Nico wypędził cię z Grecji, a prasa brukowa prześladowała cię jeszcze wiele lat później. Nie winię cię za zmianę nazwiska, za przeprowadzkę do Anglii, za to, że chciałaś stać się kimś zupełnie innym. - Elizabeth wstrzymała oddech. Wiedziała, że teraz nastąpi jakieś „ale”. Świadczyły o tym tembr jego głosu oraz sposób, w jaki trzymał głowę. - Ale - dodał - bardzo żałuję, że nie mogłem ciebie zobaczyć. Szczególnie, że nie mogłem ciebie widzieć i sam wyciągnąć wniosków tamtej nocy w zamku na Kithirze.

Elizabeth splotła dłonie, żeby opanować ich drzenie.

- To był koszmar. Chcę zapomnieć o tamtym wieczorze.

Zapomnieć o Nicu. I o Grace.

- A ja nie mogę zapomnieć o Grace - zaprzeczył i spojrzał na Elizabeth. - Bo jest piękna. I jest tobą.

Gardło jej się ścisnęło.

- Nie jestem piękna - wybąkała.

- Jako młodziutka dziewczyna wchodząca w nowojorskie wielkie towarzystwo olśniewałaś urodą. Teraz jesteś jeszcze piękniejsza. Uroda nie ma nic wspólnego z nazwiskiem ani z rodzinną fortuną. Nie ma nic wspólnego z rozwodem ani pracą w agencji pielęgniarstwa. Uroda to ty, Grace Elizabeth.

- Nie znasz mnie - wyszeptała.

- Ależ znam. Przez dwa tygodnie spaliśmy pod jednym dachem, pracowaliśmy razem, wspólnie spożyaliśmy posiłki. Odmieniłaś mnie. Ocaliłaś...

- Nieprawda.

- Prawda. Po wypadku nie chciałem już żyć. Nie chciałem odczuwać rozpacz i bólu. To ty wniosłaś ze sobą światło i nadzieję. Ty tchnęłaś we mnie wiarę i optymizm, że wszystko może być inne. Lepsze.

- Nie byłem wcale taka dobra ani taka miła.

- Racja, miła nie, ale silna. Szorstka. Nie patyczkowałaś się ze mną. Nie pozwoliłaś się poddać. A ja właśnie tego potrzebowałem. Potrzebowałem ciebie. - Zamilkł i po chwili dodał: - Wciąż cię potrzebuję. - Elizabeth zamknęła oczy. Łzy zapiekły ją pod powiekami. Kristian wyciągnął rękę, dotknął jej policzka. - Nie płacz - szepnął. - Proszę.

Przygryzła wargę, żeby powstrzymać łkanie. Przytuliła twarz do jego dłoni.

- Skoro mnie potrzebowałeś, to dlaczego pozwoliłeś mi odejść? - spytała.

- Bo nie czułem się ciebie warty. Nie czułem się jak mężczyzna godny takiej kobiety jak ty.

- Kristianie...

- Tamtej nocy na zamku w Kithirze uświadomiłem sobie, że gdybym mógł cię zobaczyć, potrafiłbym zapanować nad sytuacją. Zobaczyłbym wasze reakcje, zrozumiałbym, co się dzieje. A ja stałem skazany na mrok, dosłownie i w przenośni. Czułem się jak złapany w pułapkę. Bezradny. Wściekły. Ślepotą oznaczała niewiedzę. Strach.

- Ty nigdy niczego się nie bałeś - zaprotestowała cicho.

- Od wypadku bałem się wszystkiego. Nie mogłem spać, dręczyły mnie koszmary, myślałem, że oszaleję. Ale zjawiłaś się ty i wszystko zaczęło się zmieniać. Ja zacząłem się zmieniać. Odnalazłem dawnego siebie. - Elizabeth słuchała w milczeniu. Wzruszenie odebrało jej głos. - Należę do tych mężczyzn, którzy otaczają swoją kobietę opieką - ciągnął. - A ciebie nie mogłem otoczyć opieką. Cierpiałem przez to. Bo ty jesteś moją kobietą od chwili, gdy przyjechałaś do klasztoru tym śmiesznym wózkiem zaprzęgniętym w osiołka.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- To była najdłuższa i najgorsza jazda w moim życiu.

- Elizabeth, *latrea mou*, pokochałem cię od tamtego pierwszego dnia. Byłaś okropna i cudowna, a twoja odwaga podbiła moje serce.

Odwaga i współczucie. Dobroć i siła. Wszystkie te cechy, o których mówiłaś w Kithirze. Twierdziłaś, że wygląd nie ma znaczenia. Twierdziłaś, że są wartości znacznie ważniejsze i zgadzam się z tobą. Owszem, jesteś piękna, ale do dzisiaj nie widziałem twojej urody. Nie potrzebowalem ani jej, ani nazwiska Stile, ani twojego odziedziczonego po rodzicach majątku. Wystarczyłaś mi tylko ty. Potrzebowalem tylko ciebie.

- Kristianie...

- I wciąż potrzebuję.

Elizabeth powiodła wzrokiem po niewielkim, skromnie urządzonej pokoju. Utrzymywała się z tego, co zarobiła, ponieważ większość spadku przekazała na cele dobroczynne. Nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby wydawać pieniądze na upiększanie mieszkania. Ale dzisiaj salonik rozjaśniło ciepłe światło świec, pośrodku stał pięknie nakryty stół, rozbrzmiewała grecka muzyka, z kuchni dolatywały smakowite wonie. Od razu zrobiło się przytulniej.

W drzwiach stanął właściciel restauracji i poważnym głosem oznajmił:

- Kolacja gotowa. Zapraszam do stołu. - I dodał: - Żeby dzisiaj wszystko było zjedzone.

Elizabeth po raz pierwszy od wielu tygodni jadła z apetytem. Wszystko było wyśmienite, marynowana jagnięcia, ryba w sosie pomidorowym z rodzynkami i grillowana ośmiornica (za którą Elizabeth podziękowała). Przez cały czas oczu nie spuszczała z Kristiana.

Dopiero teraz przekonała się, jak bardzo za nim tęskniła. - Sama jego obecność tutaj sprawiła, że wszystko nabrało innych barw. Wiedziała, że nadal jest między nimi wiele nierozwiązanych spraw, lecz odzyskała spokój ducha. Przy nim czuła się bezpieczna i szczęśliwa.

Zawsze tak było. I nie chodziło o to, co powiedział czy zrobił. Wystarczyła sama jego bliskość.

- Wiesz - odezwała się pod wpływem impulsu - Cosima powiedziała... - zamilkła. Znowu Cosima. - Dlaczego wciąż o niej mówię? - spytała retorycznie.

- Nie wiem - odparł Kristian - ale skoro zaczęłaś, to powiedz, co ona powiedziała. Niech się dowiem.

- Nic takiego. Nieważne. Zapomnijmy o tym.

- Nie. Zaczęłaś o niej mówić, więc to znaczy, że nie możesz o niej zapomnieć. Co powiedziała Cosima?

Psiakrew! Psiakrew! Tak było miło. A teraz zrobiłam to samo, co w Kithirze.

- Przepraszam, Kristianie.

- Wyduś to z siebie wreszcie. Co ona powiedziała?

- Że przed wypadkiem byłeś strasznym playboyem. Że każda kobieta jadła ci z ręki. Teraz zaczynam rozumieć, co miała na myśli.

Kristian chrząknął. Rumieniec wystąpił mu na twarzy.

- Nigdy nie byłem playboyem.

- Ale kobiety nie mogły ci się oprzeć... Nigdy.

Spojrzał na nią wymownie.

- To nieprawda.

- Więc nie umawiałeś się tego samego dnia na dwie randki, każda na innym kontynencie?

- Wiesz, że zarówno pod względem geograficznym, jak i fizycznym, jest to niewykonalne.

- Chyba że leci się z Sydney do Los Angeles.

Kristian skrzywił się.

- To był jednorazowy wyczyn. Dzięki temu, że świat jest podzielony na strefy czasowe, to rzeczywiście było jednego dnia.

Elizabeth uśmiechnęła się. Sprawilo jej satysfakcję, że zapędziła go w kozi róg.

- Tęsknisz za takim stylem życia?

- Nie! Bóg mi świadkiem, że nie! - Teraz on się uśmiechnął. W opalonej twarzy błysnęły białe zęby. - Życie playboya wcale nie jest łatwe - przybrał żartobliwy ton. - Niektórzy faceci zazdrościli mi podbojów, ale wierz mi, że zadowolenie kilku kobiet naraz to całkiem wyczerpujące zajęcie.

- Wstydzilibyś się!

- I kto tu mówi o wstydzie? Przypomnij sobie, jak mnie podglądałaś na basenie, chociaż zawarliśmy umowę...

- Nie podglądałam.

- Podglądałaś. Przyznaj się. Elizabeth spłonęła rumieńcem.

- Przecież nie widziałeś - dalej się z nim droczyła.

- Nie musiałem. Wyczułem szóstym zmysłem. Tak samo, jak nie musiałem cię widzieć, żeby się w tobie zakochać. Żeby wiedzieć, że

zawsze będę cię kochał. Niczego bardziej nie pragnę, jak przeżyć resztę życia z tobą. Elizabeth dech w piersi zaparło. Głos odmówił jej posłuszeństwa. Kristian wstał, podszedł do niej i ukląkł przed nią. W rękę trzymał małe jubilerskie puzderko. - Wyjdź za mnie, *latrea mou*. Wyjdź za mnie i zamieszkajmy razem. Nie chcę żyć bez ciebie.

Jego oświadczyzny wstrząsnęły nią. Nie, nie był jej obojętny, ale małżeństwo? Ponowne małżeństwo z greckim magnatem?

Cofnęła się z krzesłem.

- Kristianie, ja... ja... - zaczęła się jąkać. - Wybacz, ale to niemożliwe

- Nie chcesz dzielić ze mną życia?

Niczego innego nie pragnęła, lecz małżeństwo przerażało ją. Nie, nie chciała znowu zostać złapana w pułapkę.

- Chcę. Ale małżeństwo - zaczęła i urwała. Ogarnęło ją poczucie beznadziejności. - Małżeństwo kojarzy mi się z koszmarem. Rozwód mnie zniszczył. Nie mogę drugi raz...

- Możesz - zapewnił ją, wstając.

- Mylisz się. To mnie przerasta.

Również wstała i odeszła od stołu. Była osaczona, nie wiedziała, gdzie się podziać. On był w jej domu. Właściciel restauracji i kelner również znajdowali się w jej domu. Małym domu. Uciekła do drugiego pokoju, swojej sypialni, lecz Kristian podążył tam za nią i przytrzymał drzwi, żeby nie mogła ich zamknąć.

- Zarzuciłaś mi tchórzostwo, bo twoim zdaniem nie chciałem wyzdrowieć - przypomniał. - Tłumaczyłaś, że muszę stanąć na

własnych nogach i przestać izolować się od ludzi. Może czas, żebyś sama posłuchała własnej rady? Może czas, żebyś przestała chować się w skorupie i na nowo zaczęła żyć? - Zdecydowanym ruchem pchnął drzwi i wszedł do środka. Elizabeth cofnęła się.

- Bycie z tobą daje mi poczucie spełnienia. Szczęście. I wiem, mimo że nie mogłem wtedy zobaczyć twojej twarzy, że tamtej nocy ty też byłaś szczęśliwa. Nie pozwolę ci odejść. Należymy do siebie. - Elizabeth zrobiła jeszcze kilka kroków do tyłu, aż oparła się o łóżko. Kristian chwycił ją za ręce i pocałował zaciśnięte dłonie. - Twoje miejsce jest przy mnie.

Jego dotyk, pocałunki, podziały na nią kojąco. Przy nim poczuła się bezpieczniejsza.

- Boję się - szepnęła.

- Wiem. Boisz się od dnia, kiedy jako młodziutka dziewczyna straciłaś rodziców. To dlatego wyszłaś za Nica. Miałaś nadzieję, że się tobą zaopiekuje. Myślałaś, że przy nim będziesz bezpieczna.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- I pomyliłam się. Przyłożył jej dłonie do piersi.

- Nie jestem Nikiem i nigdy cię nie skrzywdzę. Pragnę cię kochać, założyć z tobą rodzinę. Pragnę każdy dzień życia spędzić razem z tobą, - Czują pod palcami bicie jego serca, ciepło jego ciała. Nawet z blizną na pół twarzy był pięknym mężczyzną. - Wszystko - ciągnął, muskając wargami jej czoło - od prób samodzielnego chodzenia, po poddanie się ryzykownej operacji przywrócenia

wzroku, robiłem po to, żeby na nowo stać się mężczyzną godnym ciebie.

- Ale ja nie jestem odpowiednią kobietą...

- Nie jesteś odpowiednią kobietą? *Latrea mou*, spójrz tylko na siebie! Może boisz się małżeństwa, ale nie boisz się mnie! - Zniżył głos, przybrał drwiący ton i dodał: - Wiem, że wyglądam jak maskara. Słyszałem, jak ludzie mnie tak nazywają za moimi plecami, ale tobie nigdy nie przeszkadzała moja oszpecona twarz...

- Kocham twoją twarz. Zacisnął dłonie wokół jej dłoni. - Nie płaszczysz się przede mną. Rozmawiasz ze mną, śmiejesz się ze mną, kochasz się ze mną. - Jego głos nabrał niskich tonów, kiedy kończył:

- Sprawiasz, że czuję się spełnionym człowiekiem. - Czują dokładnie to samo. Serce zabiło jej mocniej. - Nadajesz sens mojemu życiu - mówił dalej - a jeśli mnie kochasz, ale małżeństwo cię przeraża, to nie bierzmy ślubu. Nie róbmy niczego na siłę, nie chcę, żebyś się czuła skępowana, osaczona. Mnie nie jest potrzebna do szczęścia wielka uroczystość, ani nie muszę wkładać ci na palec drogiej obrączki, żeby udowodnić, że należysz do mnie, bo i bez tego już jesteś moja. Wiem to, czuję to. Wierzę w to. To jest aż tak proste i jednocześnie aż tak skomplikowane. - Elizabeth wpatrywała się w niego, nie mogąc uwierzyć w przemianę, jaka się w nim dokonała. Tak bardzo różnił się od mężczyzny, którego poznała zaledwie trzy miesiące temu. - O co chodzi? - zaniepokoił się. - Pomyliłem się? Nie czujesz tego, co ja?

Serce Elizabeth przepęłniła miłość tak gwałtowna i silna, że przytuliła się do niego i szepnęła:

- Pocałuj mnie. - Spełnił jej prośbę, a ona oddała pocałunek, szepcząc: - Kocham cię, kocham, kocham. I nie dbam o to, czy weźmiemy ślub, czy nie - dodała. - Chcę być z tobą, blisko ciebie przez resztę życia.

Błysk przekory pojawił się w jego oczach.

- Uważaj, co mówisz, bo może się sprawdzić - zażartował.

- Każdego dnia, do końca życia...

- Grace Elizabeth...

- Do końca świata.

- Amen. - Pochylił się i ją pocałował. - Już nie masz odwrotu.

Zarzuciła mu rękę na szyję.

- Skoro tak, to możemy zalegalizować nasz związek.

Kristian odsunął się trochę, żeby móc się jej lepiej przyjrzeć.

- Zmieniłaś zdanie?

Kiwnęła głową i powiedziała przez łzy:

- Oświadczyć mi się jeszcze raz. Proszę.

- Wyjdiesz za mnie, *latrea mou*?

- Tak.

Pocałował jej skroń, potem usta.

- Dlaczego zmieniłaś zdanie?

- Bo miłość zwycięża strach. A ja kocham cię całym sercem. I nie chcę innego męża, tylko ciebie.